

Jane Porter

Wyprawa do Brazylii

PROLOG

Ostre słońce raziło oczy, jednostajny szum fal usypiał. Sophie Johnson wtuliła się w ręcznik, rozłożony na ciepłym piasku. Minione dziesięć dni było lepsze niż... niż wszystko, co ją dotąd spotkało w życiu.

Wtem piasek się poruszył, na plecy Sophie padł cień. Poczowała coś jakby podniecenie i strach jednocześnie. Osłoniła dłonią oczy i popatrzyła w górę, choć przecież wiedziała, że to Alonso Huntsman. Uwielbiała go, chociaż ją przerażał. Dziwne.

Alonso stał nad nią, ociekając wodą.

- Pięknie pachniesz, Sophie - powiedział. - Mam ochotę cię zjeść.

- Nie ja, tylko olejek do opalania. - Roześmiała się, mimo że serce podskoczyło jej do gardła.

Clive Wilkins, syn znanego bankiera, hrabiego Wilkinsa, poruszył się niespokojnie na ręczniku, z którym rozłożył się obok Sophie.

- Czy moglibyście się zamknąć, z łaski swojej? - warknął.

- A co? - Alonso podniósł swój ręcznik, startł słońską wodę z twarzy. - Przeszkadzamy ci spać?

- Jakbyś zgadł - burknął Clive.
 - Tylko jeden mały gryzek - szepnął Lon do ucha Sophie.
 - Masz. - Rzuciła mu butelkę olejku do opalania.
- Spróbuj.

- Na litość boską - jęknął Clive. - Przerwaliście mi piękny sen.

Usiadł na ręczniku, przechylił się do Sophie i przesunął językiem po jej ramieniu.

- Obrzydliwe. - Skrzywił się komicznie. - Smakuje plastikiem. Lubisz zjadać plastik, Lon?

- Kłamiesz - prychnął Lon, sadowiąc się pomiędzy Clive'em i Sophie. - Nie chcesz, żebym jej spróbował i tyle. Czyżbyś był zazdrosny, staruszk?

- A czegoż wam zazdrościć, załośni śmiertelnicy? - zapytał z powagą Clive, używając przy tym eleganckiej wymowy angielskiej arystokracji. Oczywiście nie zaszczylił ich nawet spojrzeniem. Jednak za chwilę się uśmiechnął i już w normalnej angielszczyźnie zwyczajnych młodych ludzi dodał: - Oczywiście, że jestem zazdrosny, ty wielki szkocki matole. Oboje z księżniczką jesteście najlepszymi przyjaciółmi, jakich człowiek może sobie wymarzyć.

Matoł i księżniczka! Sophie wybuchnęła śmiechem, a Lon i Clive natychmiast poszli w jej ślady.

Buenaventura, najwspanialsze wakacje w życiu Sophie. Nie, w ogóle najlepsze, co jej się w życiu zdarzyło. Clive i Lon byli niemożliwi, niepoprawni

i w ogóle okropni, a ona nigdy nikogo nie kochała tak bardzo jak tych dwóch cymbałów.

Jak by było cudownie, gdyby można zatrzymać czas, pomyślała. Żebyśmy wszyscy troje mogli tu zostać na zawsze. Młodzi, szczęśliwi, tacy sami jak teraz...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Więc ile? - spytała lady Sophie Wilkins. Podniosła dłoń do góry, podziwiała blask szlachetnych kamieni: kunsztownie oszlifowanego szmaragdu i otaczających go brylancików.

- Dziesięć tysięcy funtów - odparł jubiler.

Drzwi sklepu się otworzyły, lecz lady Wilkins nie chciała odrywać wzroku od lśniących na jej palcu kamieni.

Dziesięć tysięcy funtów, powtarzała w myśli. Dziesięć tysięcy. Już nigdy w życiu nie będę miała nic równie pięknego.

Niestety, nie mogła zatrzymać pierścionka. Miała mnóstwo długów i - na domiar złego - koniecznie musiała jechać do Brazylii. Bardzo potrzebowała pieniędzy.

Jej milczenie zaniepokoiło jubilera.

- Ostatecznie mógłbym dać dziesięć tysięcy pięćset - powiedział z miną cierpiętника - ale ani pensa więcej.

- Chociaż wiesz doskonale, że jutro dostaniesz za niego dwa razy tyle? - zapytał kpiąco głęboki męski głos.

Sophie się wzdrygnęła. Na końcu świata poznała-
by ten głos.

- Lon! - wykrzyknęła. Wpatrywała się w niego,
jakby zobaczyła ducha.

- Tak, Sophie, to ja.

Nie mogła oderwać od niego wzroku, jak przed-
tem od pierścionka.

- Co ty tutaj robisz?

- Interesy.

- Interesy? - powtórzyła, jakby ją to dziwiło.
A przecież wiedziała, że jej dawny szkolny kolega,
Alonso Huntsman, jest jednym z największych eks-
porterów szmaragdów na całym świecie.

- Spodziewałem się pana dopiero jutro, panie
Huntsman. - Jubiler zdjął monokl, odłożył go na
kontuar. - Kamień nie jest jeszcze przygotowany.

- To ty kupujesz kamienie? - zdziwiła się Sophie.

- Tylko jeden szmaragd - odparł Lon.

Przejechał pół świata, żeby kupić jeden szmaragd?

- Musi być bardzo cenny.

- Pochodzi z mojej kopalni. Ma dla mnie wartość
sentymentalną.

Sophie jakby ocknęła się z omdlenia. Ściągnęła
pierścionek z palca, podała go jubilerowi.

- Przyjmuję pańską cenę - powiedziała.

Jubiler wziął pierścionek, który dostała od Clive'a
ponad sześć lat temu, schował go do kieszeni.

- Czy przyjmie pani czek, lady Wilkins?

- Tak - odrzekła przez ściśnięte gardło. - Dzię-
kuję.

Zapięła płaszcz, bo nagle zrobiło jej się zimno.

- Sprzedajesz ślubny pierścionek? - zapytał Lon z miną, z której nic się nie dało wyczytać. - Zabrakło ci pieniędzy?

- Niczego mi nie brakuje. - Nie miała zamiaru mówić Lonowi prawdy. Nie chciała, żeby się nad nią litował. Wybrała Clive'a, a nie Łona. To była jej własna suwerenna decyzja. - Nie miałam pojęcia, że jesteś w Anglii.

- Mam dom na Knightsbridge*.

- Mieszkasz na stałe w Londynie? - zdziwiła się Sophie. Clive kiedyś jej powiedział, że Lon posiada domy i biura w Bogocie i Buenos Aires, ale nic nie wspominał o Londynie.

- Przez kilka miesięcy w roku.

- Nie wiedziałam.

Lon się jej przyglądał, jakby szukał w jej rysach potwierdzenia tego, o czym od dawna wiedział. Małżeństwo Sophie i Clive'a nie układało się najlepiej, ale Sophie nigdy się nie skarżyła. Mimo osobistej tragedii, wciąż była piękna, może nawet piękniejsza niż kiedyś. Cierpienie naznaczyło jej twarz, zmiękczyło usta, pogłębiło dołki na policzkach...

Jubiler podał Sophie czek. Schowała go do torebki, pożegnała się i poszła do wyjścia. Lon podążył za nią.

- Nie możesz ze mną iść - zaprotestowała Sophie. - Masz coś do załatwienia.

* Ulica w Londynie, sąsiadująca z Hyde Parkiem

- Kamień nie jest jeszcze gotowy. Sama słyszałaś. - Lon wziął ją pod rękę. Mocno, jakby się bał, że Sophie mu ucieknie.

Zapadał zmrok. Pod koniec grudnia po zachodzie słońca robiło się bardzo zimno. Sophie odetchnęła głęboko, starając się uspokoić myśli. Wciąż nie mogła uwierzyć, że po tylu latach przypadkiem natknęła się na Lona u jubilera. Nigdy przedtem nie spotkała Lona w Londynie.

- Wkrótce Boże Narodzenie - odezwał się, przerywając kłępujące milczenie.

A więc to już dwa lata bez Clive'a. Sophie przygryzła wargę, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

Bardzo brakowało jej Łona. Od dziecka się przyjaźnili, a potem on nagle całkiem zniknął z jej życia. Próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio go widziała, ale nie była w stanie policzyć minionych lat.

- Wcale się nie zmieniłeś - powiedziała cicho.
- Nadal wyglądasz jak dzikus.
- Ty nie lubisz dzikusów.
- Ciebie zawsze lubiałam.
- Czas przeszły?

Sophie zbierało się na płacz, lodowaty wiatr targał płaszczem.

Jak bardzo trzeba oszukać samą siebie, żeby usprawiedliwić tamtą decyzję sprzed lat, pomyślała.

- Muszę wracać do domu - powiedziała zgrubiałym nagle głosem. - Hrabina na mnie czeka.

- Podrzucę cię - zaproponował Lon.
- To bardzo daleko - wzbraniała się Sophie. - Co najmniej półtorej godziny...
- Odwiozę cię - powtórzył tonem nieznośnym sprzeciwu.

Sophie pozwoliła się zaprowadzić do samochodu. Miała uczucie, jakby zabrała ją ze sobą potężna fala, której nijak nie można się oprzeć.

Lon zawsze taki był. Ogromny, potężny, dominujący. Był przy niej zaledwie od dwudziestu minut, a już zdołał zmienić otaczający ją świat.

Dziwne emocje nie opuściły jej przez całą drogę do domu. Dużo by dała, żeby cofnąć czas i znaleźć się na plaży w Buenaventura, za górami, za lasami, gdzie dawno, dawno temu Sophie, Clive i Alonso spędzili baśniowe wakacje.

- Tęskniłem za tobą, Sophie - powiedział cicho Lon,

Serce jej się ścisnęło. Pomyślała, że to z samotności, ale serce ścisnęło się znowu. Bolesny skurcz, bardzo przypominający tamte, które odczuwała kiedyś. Wtedy wiedziała, że Lon jej pragnie, ale nie miała pojęcia, co o tym myśleć ani jak się zachować.

Łzy napłynęły jej do oczu. Zamrugnęła powiekami. Była bardzo zakłopotana. Od lat nie przeżywała tak silnych emocji. Od śmierci Clive'a bardzo dobrze nad sobą panowała, za to teraz omal nie wyskoczyła ze skóry.

Chciałaby móc zważyć odpowiedzialność za ten

swój stan na zmęczenie, stres czy przedświąteczną gorączkę, ale dobrze wiedziała, że wszystkiemu jest winien Lon. Zawsze tak na nią działał. Sprawiał, że stawała się napięta jak struna, że ogarniały ją uczucia, których nawet nazwać nie umiała.

Nadal ją fascynował, przykuwał uwagę. Jego czarne włosy w połączeniu z błękitnymi oczami dawały niezwykły efekt.

I właśnie taki był: niebezpieczny.

- Na co patrzysz? - zapytał Lon.

- Na ciebie - mruknęła zawstydzona, że dała się przytąpać.

Pomyślała, że nie należało wsiadać z nim do auta, gdzie trzeba być blisko siebie. Za blisko. Nie byli nastolatkami, a Lon nigdy niczego nie robił byle zbyć. Nie zadowalał się odrobiną na krótką chwilę; musiał mieć wszystko na zawsze.

Sophie już nie chciała na zawsze. W każdym razie nie z Lonem. Mimo upływu lat wciąż był nieprzewidywalny i nadal ją przerażał.

Jej spojrzenie wędrowało po szerokim czole Lona, mocnej szczęce, wydatnym nosie, aż zatrzymało się na cienkiej bliźnie przecinającej skraj prawego policzka. Kiedyś jej tu nie było.

- Skąd masz tę bliznę? - spytała, także po to, by przerwać kłopotliwą ciszę.

- Zaciałem się przy goleniu.

Ale to nie była blizna od golenia. Była głęboka, paskudna.

- To musiała być wielka brzytwa.

- Ogromna. - Lon się uśmiechnął.

Sophie nie mogła oderwać oczu od tej blizny. Nie tylko go nie szpeciła, ale dodawała twarzy Lona charakteru. Zmarszczki wokół oczu i blizna na policzku nadawały mu wygląd człowieka, który z niejednego pieca jadł chleb.

- Bolało?

- Bardziej mnie bolała utrata ciebie.

Sophie syknęła, spojrzała na swoją lewą dłoń, która zdawała jej się naga bez wielkiego pierścienia.

- Ożeniłeś się? - zapytała swobodnie, chociaż ten lekki ton kosztował ją dużo wysiłku.

- Nie.

- Więc pewnie jesteś zaręczony? - drażyła.

- Nie jestem.

- A więc masz jakąś stałą partnerkę...

- Jesteś strasznie Wścibska, *munieca**. Chciałaś się ubiegać o to stanowisko?

Alonso się uśmiechnął, a Sophie serce podskoczyło do gardła. Za późno zrozumiała, że pytania o życie osobiste Lona to nie jest bezpieczny temat. No, ale przecież się nie spodziewała, że on nadal jest sam, do wzięcia, że ciągle jej zagraża.

- Nie jestem zainteresowana - prychnęła. - Życie w związku nieformalnym nie jest wcale takie eks-cytujące, jak głoszą bajki.

- Pozbawiona iluzji księżniczka?

* Laleczko (hiszp.).

- Jaka tam ze mnie księżniczka. - Sophie się skrzywiła.

- No tak, zapomniałem. - Lon pokiwał głową.
- Nie księżniczka, tylko uboga wdowa zmuszona sprzedać dom, samochód, a w końcu także pierścionek zaręczynowy.

Sophie zacisnęła powieki. Lon potrafił zranić jak nikt na świecie. Zawsze celnie trafiał w najczulszy punkt.

- To tylko przedmioty - szepnęła.

- Słusznie. Po co rzeczy, kiedy ma się ciepło, czułość i miłość?

Nienawidziła go w tej chwili. Był cyniczny, złośliwy. Musiał wiedzieć, że Sophie nie ma nikogo na świecie, że mieszka u matki Clive'a, kobiety dumnej, zimnej, niezdolnej do współczucia. I pewnie wiedział także, że Sophie jest w Melrose Court bardziej więźniem, aniżeli synową, że nie ma tam ani własnego kąta, ani odrobiny swobody.

Ale nie robiła mu wyrzutów. W ogóle się nie odezwała. Jeśli chciał być okrutny, niech sobie będzie. I tak wkrótce znowu zniknie. Odwiezie ją do Melrose Court, może nawet odprowadzi do drzwi, a potem znów odejdzie i Sophie już nigdy więcej go nie zobaczy. Na pewno prędko odzyska utracony tak nagle spokój.

- Czemu nie przyszedł do mnie z tym pierścionkiem? - odezwał się. - Dałbym ci za niego dwa razy tyle co jubiler.

- Nie potrzebuję jałmużny.

- To nie żadna jałmużna, tylko dobry interes. Sam szmaragd jest wart ze dwa tysiące funtów. Reszta to kolejnych dziesięć albo i piętnaście tysięcy.

Sophie wzruszyła ramionami. Nie wiedziała o tym. A nawet gdyby wiedziała i tak nie zdołałaby uzyskać więcej.

- Jestem zadowolona z ceny.

- Skoro jesteś zadowolona... - odparł, pocierając dłonią czoło.

Miał długie włosy, dłuższe niż przed laty, sięgały prawie do ramion. Był zbyt potężny na czarne porsche, wypełniał sobą całe auto. Dłonie trzymające kierownicę były olbrzymie, ogorzałe od słońca. Alonso był silny i potężny. Pracował fizycznie w kopalni na wiele lat przed tym, nim kupił w niej udziały. Nie bał się ładunków wybuchowych, ciasnych korytarzy, zagrożonych zawaleniem tuneli. Nigdy niczego się nie bał.

Nie byłaby z nas dobrana para, pomyślała Sophie. On jest nieustraszony, a ja boję się własnego cienia.

- Jak długo trwał miesiąc miodowy?

Sophie aż podskoczyła. Nie spodziewała się tego pytania, choć po nim można się było spodziewać wszystkiego.

- Nic ci do tego - burknęła.

- Ja tylko chciałbym wiedzieć, kiedy się zorientowałaś, że popełniłaś błąd.

- Cofnij to pytanie - zażądała, z trudem wydobywając słowa ze ściśniętego gardła. - Nie masz prawa...

- Ja ciebie kochałem! - wybuchnął. - Clive nie. On tylko nie chciał, żebym to ja cię miał.

- Nieprawda!

- Prawda! A ty, głupiutka, tak bardzo się mnie bałaś, że rzuciłaś się prosto w jego ramiona.

Słowa Lona niemal przyprawiły ją o mdłości. Położyła dłoń na klamce, jakby chciała uciec, choć właśnie zrozumiała, że już nigdy nie ucieknie od Lona. Odnalazł ją i nadal jej pragnął. W głębi duszy wiedziała, że tym razem już jej nie puści, że jej nikomu nie odda.

- Czy ty wiesz, jak się czułem, kiedy do mnie dotarło, że cię straciłem? - spytał, patrząc prosto przed siebie w ciemność zimowej nocy.

- To było bardzo dawno - szepnęła, nie patrząc na niego. - Właściwie w innym życiu.

- Trafiłaś w sedno, *munieca*. - Jego niski głos ją hipnotyzował, musiała na niego popatrzeć, spojrzeć mu w oczy, które powinny być czarne, ale były niebieskie jak letnie niebo. Kiedyś lubiła Łona, może nawet kochała, ale on chciał więcej niż tylko miłości. Chciał mieć ją całą. Wciągał jak groźny wir. - Czas zacząć nowe życie. Ze mną.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dojechali do Melrose Court. Sophie kręciło się w głowie. Kiedy wysiadła z auta, nogi się pod nią ugięły i łzy popłynęły jej z oczu. Pomimo jej protestów, Lon wziął ją na ręce i wniósł po schodach na górę.

- Jest bliska omdlenia - poinformował zdumioną hrabinę Wilkins. Postawił Sophie na podłodze, ale nadal obejmował ją w pól. - Czy mogłabyś jej przynieść szklankę wody?

- Jesteś bardzo blada - powiedział do Sophie, gdy hrabina poszła po wodę. - Czy moja propozycja tak cię oszołomiła?

- Nie jestem jeszcze gotowa na nowe romanse - szepnęła Sophie.

- A więc to tylko plotki, co mówią o tobie i tym, jak mu tam? No wiesz, bogaty, przystojny, ciemne włosy, jak moje, ciemne oczy...

- Federico - wpadła mu w słowo.

- Federico - powtórzył Lon, celowo przeciągając głoski. - Jakiś obcokrajowiec?

- Jak my wszyscy.

W innym wypadku Alonso by się uśmiechnął. To

była prawda. Lon i Sophie poznali się w Ameryce Południowej i wszyscy ich znajomi przemieszkowali w rozmaitych zakątkach świata. Dyplomaci, inżynierowie, górnicy, bankierzy, zagraniczni inwestorzy... Ale się nie uśmiechnął. Mówili przecież o Federicu Alvare!

Federico Alvare był prawą ręką Miguela Valdeza, jednego z potentatów narkotykowych Ameryki Południowej. Lon znał go osobiście. Federico, były agent wywiadu, zaciągnąłby Sophie do piekła, gdyby tylko mógł.

- Nie ma nic złego w tym, że masz nowego narzeczonego - ciągnął obojętnym tonem, tłumiac ogarniający go gniew. Sophie z innym mężczyzną? No cóż, niewykluczone. Ale Sophie i Federico Alvare? Nigdy! To właśnie z powodu tych plotek Alonso przyjechał do Anglii. Jego kontakt doniósł, że lady Wilkins ma kłopoty i że zadaje się z jednym z najmniejbezpieczniejszych przestępców świata. Lon nie chciał w to uwierzyć. Aż do tej chwili w to nie wierzył. - Nie ma powodu, żebyś żyła jak mniszka. W końcu minęły dwa lata...

- Nie mam ochoty na żadne romanse - ucięła.
- Federico nie jest moim narzeczoną, tylko... przyjacielem. On i Clive pracowali razem.

Albo była naiwna jak dziecko, albo piekielnie sprytna. Lon nie umiał w tej chwili ocenić, które z tych określeń jest bliższe prawdy.

- Nie wiedziałem - skłamał.

- Nic dziwnego - powiedziała cichutko. - Po

naszym ślubie nie chciałeś mieć nic wspólnego ani ze mną, ani z Clive'em.

Patrzył zafascynowany na kosmyk włosów, który wysunął się z upiętych włosów i przykleił do szyi Sophie.

Szczęściarz z tego kosmyka, pomyślał Lon. Szczęściara z tej szyi. Muszę chronić tę piękną szyję, zanim spotka ją coś strasznego.

- Wy też nie tęskniliście za mną - przypomniał jej Lon.

- Nieprawda - zaprotestowała. - Clive próbował się kontaktować i to nieraz.

Miała na sobie kremową sukienkę z dzianiny. Dwa górne guziczki się rozpięły, ukazując oczom Lona kremowe ramiączko stanika.

- Niezbyt natarczywie - powiedziała, zapatrzony w biały dekolt Sophie.

- Nie odpowiadałeś na telefony. Nie masz pojęcia, jak go to bolało, jaką przykrość sprawiłeś tym nam obojgu.

Lon chciał, żeby Sophie mówiła. Mógł bez przeszkód patrzeć na jej długą szyję, na słodkie usta... Jej wargi, nawet bez szminki były pełne, cudownie różowe. Miał ochotę przytulić ją do siebie i nigdy więcej nie puścić.

W tej chwili wróciła hrabina ze szklanką wody w dłoni.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że mnie odwiedziłeś - powiedziała Louisa Wilkins, przywitawszy się z Alonsem. - Bardzo dawno cię nie widzia-

łam. Co najmniej dwa lata. Zdaje się, że od pogrzebu Clive'a.

Lon poczuł, że Sophie zadrżała.

- Chyba masz rację - przyznał, chcąc jak najszybciej zmienić temat na nieco mniej drażliwy. - Ale ty, Louiso, wyglądasz wspaniale. Ani trochę się nie postarzałaś.

- Dziękuję, Alonso. - Hrabina promieniała. Jej także brakowało męskiego towarzystwa. - Jesteś bardzo miły. Oczywiście zostaniesz na obiedzie, prawda?

- On jest bardzo zajęty, Louiso - pospieszyła z wymówką Sophie.

- Nie aż tak bardzo - poprawił ją Lon. - Chętnie u was zostanę.

- Powiem kucharce, żeby postawiła na stole jeszcze jedno nakrycie - powiedziała zadowolona hrabina. - A ty, Sophie - zwróciła się do synowej - pokaż Alonsowi, gdzie trzymamy whisky. O ile dobrze pamiętam, lubi sobie wypić szklaneczkę przed obiadem.

Sophie zaprowadziła Lona do biblioteki, a potem przyglądała się, jak nalewa sobie alkohol.

- Zdaje się, że hrabina ma do ciebie słabość - powiedziała.

- Zbliżają się święta - odparł, popijając z kryształowej szklaneczki. - Boże Narodzenie to rodzinne święta. Pewnie czuje się bardziej osamotniona niż zwykle.

Sophie nie odpowiedziała. Usiadła na sofie, podwinęła nogi pod siebie.

- Tobie też pewnie nie jest łatwo żyć tutaj z hrabiną - ciągnął Lon.

Wszystko się w nim gotowało, a Lon nie lubił tracić panowania nad sobą. Koledzy z niego żartowali, że ma nadludzką siłę, kiedy wpadnie w gniew. Rzeczywiście tak było. Mógł podnieść dwa razy tyle, ile sam ważył. Bez trudu. Kiedyś na obozie szkoleniowym podniósł trzysta kilo, a inni tylko się na niego gapili. Powiedział im, że to u niego rodzinne, bo jego ojciec był szkockim górnikiem, lecz to wcale nie była prawda.

Jego ojczym był Szkotem i górnikiem, a ojciec biologiczny - argentyńskim arystokratą, który zabił się, wpadając autem na drzewo z prędkością sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. To właśnie ta argentyńska krew sprawiała, że Lon ciągle pakował się w kłopoty.

- Louisa jest dla mnie bardzo dobra - mruknęła Sophie.

Kpiła w żywe oczy. Hrabina od początku traktowała ją jak człowieka drugiej kategorii. No, ale może się mylił, może to się zmieniło.

- Dobrze wygląda - stwierdził. - A jak ona naprawdę się miewa?

- Ma końskie zdrowie, a o tej porze roku, jak zwykle, myśli tylko o balu.

- Doroczna świąteczna gala Wilkinsów. - Lon uśmiechnął się krzywo. - Tydzień temu dostałem zaproszenie.

- Dostałeś zaproszenie? - Sophie nie umiała ukryć zdziwienia. Oboje wiedzieli, że hrabina nigdy za nim nie przepadała.

- Co roku dostaję - odparł z satysfakcją. - Po prostu nigdy przedtem nie byłem w Anglii o tej porze roku.

- A więc tym razem przyjdiesz?

Głos jej drżał. Nie chciała, żeby przyszedł.

- A powinienem?

- Nie - odparła bez namysłu, a potem się zaczerwieniła. - To nie jest impreza w twoim stylu - starała się zatuszować niezręczność. - Setki ludzi, mało jedzenia. Pewnie nawet nikogo nie znasz.

- To bez znaczenia. - Lekceważąco machnął ręką. - Ważne, że będę mógł popatrzeć na ciebie.

Sophie wstała, jakby chciała wyjść, ale zaraz usiadła z powrotem. Z całej siły wcisnęła dłonie w poduszki sofy.

- Nic między nami nie będzie, Lon - powiedziała, nie patrząc na niego. - Nie zapomniałam Clive'a. Mówiłam ci, że nie jestem jeszcze gotowa na nowy związek.

- Ja wcale nie jestem nowy.

Prawda, pomyślała Sophie. Od piętnastu lat jest częścią mojego świata. Ale nawet piętnaście lat temu nie był dla mnie odpowiedni. Dziesięć lat temu też nie. Nawet dzisiaj nie jest tym, kogo mi trzeba.

- Proszę cię - westchnęła - nie zmuszaj mnie, żebym była nieuprzejma.

- Ty? Nieuprzejma? - Lon się roześmiał. - Nawet

gdybyś bardzo chciała, nie umiałabyś się zachować niegrzecznie. Zrobiłaś z dyplomacji prawdziwą sztukę, a takt zamieniłaś w cnotę. Możesz...

- Za to ty lubisz być umyślnie nieuprzejmy - przerwała mu.

Biedna Sophie, pomyślał z czułością. Taka drobna i krucha na tej wielkiej sofie. A przy tym piękna, niemal jak zjawisko z innego świata.

Tak, umyślnie był dla niej niemiły, bardzo chciał sprawić jej przykrość. W głębi serca wciąż chciał, by cierpiała za to, że wybrała Clive'a, a nie jego.

W dniu, w którym Lon poprowadził ją do ołtarza i dosłownie oddał Clive'owi, stracił własne serce.

Nigdy głośno tego nie powiedział, ale nienawidził jej za to, że poprosiła go, by to właśnie on poprowadził ją do ołtarza w zastępstwie chorego ojca. Lon nie chciał nikogo zastępować. Nie chciał być jej ojcem ani bratem. Chciał być jej kochankiem, jej mężem, chciał mieć Sophie całą wyłącznie dla siebie.

- Nie - powiedział. - Nie lubię być rozmyślnie nieuprzejmy, tylko mam paskudny charakter. Zwykle doskonale nad sobą panuję. Nerwy mi puszczają tylko wtedy, gdy mam do czynienia z tobą, lady Wilkins.

- I ty się dziwisz, że Clive czuł się przy tobie nieswojo po naszym ślubie? - zachnęła się Sophie.

Lon wcale się nie dziwił. Wiedział, czemu Clive czuł się nieswojo w jego towarzystwie. Niestety, nie mógł tego powiedzieć Sophie. Nie mógł jej powie-

dzieć niczego o tajemnej przeszłości jej męża. Clive nigdy jej nie mówił, kim był, a raczej kim się stał. Lon przysiągł, że nie powie o tym Sophie, że będzie ją chronił przed straszną prawdą. Ta prawda złamała Lona, a ją mogłaby zabić.

- Byłeś dla Clive'a wszystkim - Sophie mówiła coraz głośniej. - Uwielbiał cię. Byłeś jego najlepszym przyjacielem. Nie rozumiem, dlaczego się od ciebie odwrócił. Co się stało?

- Dorośliśmy.

- To nie może być aż takie proste, Lon. Przyjaźniliście się przez wiele lat. Wszystko robiliście razem. Chodziliście do tej samej szkoły z internatem, potem na ten sam uniwersytet i mieliście wspólnych przyjaciół. Clive nawet wstąpił do lotnictwa, kiedy ty się zaciągnąłeś.

- Może za dużo było tej naszej wspólnoty. Może Clive'owi lepiej się powiodło z nowymi przyjaciółmi. Pewnie przestałem być dla niego odpowiednim towarzystwem.

Sophie czuła, że Lon jest zły na Clive'a, lecz nie miała pojęcia o co. Koniecznie chciała to zrozumieć.

- Dlaczego? - spytała rozgorączkowana. - Co się z wami stało?

Lon się wahał. Najwyraźniej nie chciał mówić o tym, co tak bardzo interesowało Sophie.

- Zmieniliśmy się - powiedział w końcu. - Oddaliliśmy się od siebie.

- Clive się nie zmienił - zaprotestowała. - To ty musiałeś się zmienić.

- On też się zmienił. - Lon westchnął. - Był skomplikowanym człowiekiem.

Clive skomplikowany? Sophie ani przez chwilę w to nie wierzyła. Clive był prosty jak konstrukcja gwoźdźcia. Absolutnie żadnych komplikacji. Alonso znów coś przed nią ukrywał.

- Czemu nie chcesz mi powiedzieć prawdy, Lon? - Sophie postanowiła przyprzeć go do muru. - Kluczysz, wykręcasz się; nie powiedziałaś mi niczego, czego bym już nie wiedziała.

- Co ci przyjdzie z tego, że się dowiesz, czemu nasze drogi się rozeszły? Czy to ci w czymś pomoże? - zapytał łagodnie, niemal czule.

Podszedł do Sophie i poprawił odwinięty kołnierzyk jej sukienki. Jego palce musnęły jej szyję. Poczowała przyjemny dreszcz. Zacisnęła pięści, jakby w ten sposób dało się powstrzymać i pożądanie, i przyjemność.

Życie to nie przyjemność ani pożądanie, pomyślała. W życiu trzeba się kierować zdrowym rozsądkiem. Wiem, że Lon nie nadaje się na męża. Nigdy się nie nadawał. Dobrze zrobiłam, że wybrałam Clive'a. Lon nigdzie nie zagrzeje miejsca. Jest zdeklarowanym kawalerem. Nie ma żadnych więzi, żadnych korzeni, nie ma nawet rodzinnego domu.

Kiedy chodzili do szkoły, Lon był jednym z nielicznych uczniów, którzy nigdy nie wyjeżdżali do domu. Ani na weekendy, ani nawet na święta. Sophie myślała, że to matka Lona nie chciała go widywać.

Dopiero kiedy dorośli, dowiedziała się, że to Lon nie chciał mieszkać z matką i ojczymem.

- Widujesz się czasami ze swoją mamą? - spytała Sophie. Uznała, że lepiej zmienić temat, bo Lon i tak nic więcej jej nie powie.

- Kiedy tylko mogę - odparł, patrząc jej w oczy. W jego błękitnych oczach zawsze drzemał cień, jakby tajemnica, którą z nikim nie chciał się podzielić. Ten cień był tam już wtedy, kiedy razem chodzili do szkoły, a potem zniknął. Teraz znów powrócił. - Mama i Boyd wrócili do Szkocji. Mieszkają pod Edynburgiem. Obiecałem, że spędzę z nimi święta. Wrócę do Londynu dopiero w drugi dzień świąt.

W drugi dzień świąt będę już w Brazylii, pomyślała Sophie.

- Jak im się wiedzie?

- Doskonale. Żyją sobie spokojnie, jak dwa gołąbki. Oboje posiwielili... A ty? Jak ty się miewasz? Czy jesteś tu szczęśliwa?

Jego niski głos przeszył ją. Zadrzała. Drżała z tęsknoty, której nie umiała opanować. Lon nadal ją obezwładniał, odurzał. Nie potrafiła go kochać tak, jak on tego chciał, ale nienawidzić go też nie umiała. Zawsze przy nim czuła za dużo i stanowczo zbyt intensywnie. Przerazała ją siła tych uczuć.

- Jak mogę być szczęśliwa? - Sophie wzruszyła ramionami. - Mój mąż nie żyje. Straciłam dom. Jestem całkowicie zależna od teściowej...

- A więc mnie potrzebujesz - wpadł jej w słowo Lon.

- Ależ ty jesteś pewny siebie - prychnęła.

Drzwi biblioteki się otworzyły, w progu stanęła hrabina.

- Podano obiad - powiedziała.

Podczas obiadu była w szampańskim humorze, usta jej się nie zamykały. Louisa Wilkins była najgorszym gawędziarzem na świecie, lecz Lon słuchał uważnie jej Opowieści o planach na nowy sezon Stowarzyszenia Ogrodniczego Pań z Towarzystwa. Sophie nie miała pojęcia, jak on to wytrzymuje. Jeszcze kilka lat temu za żadne skarby świata nie słuchałby nudnych opowieści Louisy. No tak, ale przed laty Louisa nie zniżyłaby się do rozmowy z Lonem.

Przez tych ostatnich dziesięć lat wszyscy się zmieniliśmy, pomyślała Sophie.

Lon spojrział na nią, ich oczy się spotkały. Dech jej w piersiach zaparło. Zastanawiała się, czy on jeszcze kiedyś ją pocałuje, czy zdoła sprawić, że poczuje się tak jak kiedyś, gdy miała osiemnaście lat i jeszcze była ciekawa życia.

- Chcesz dokładkę deseru, mój drogi? - spytała hrabina.

- Nie, Louiso, dziękuję.

- Wobec tego pójdziemy do biblioteki - zarządziła hrabina, wstając od stołu.

Sophie także wstała, zaczęła zbierać talerze.

- Może lepiej pomogę Sophie sprzątać ze stołu.

- Sama sobie poradzi. - Louisa wzięła Lona pod rękę z taką determinacją, jakby był jedynym mężczyzną na świecie. - Prawda, Sophie?

- Oczywiście - przytaknęła Sophie.

Owszem. Przydałaby się jej pomoc w kuchni, ale nade wszystko potrzebowała chwili spokoju.

Spotkanie z Lonem całkowicie wytrąciło ją z równowagi. Zamiast myśleć o podróży do Brazylii, myślała o Lonie i o tym, co kiedyś ich łączyło. Zawsze w jego obecności była oszołomiona, zdenerwowana i bezsensownie podniecona.

- Poradzę sobie - powiedziała, tym razem bardziej do siebie niż do Lona czy do hrabiny. Nie była już nastolatką, tylko dojrzałą kobietą. Wdową. Skoro tyle przetrwała, to wieczór w towarzystwie Alonsa Huntsmana nie powinien zrujnować jej życia. - Przyjdę do was, jak skończę zmywanie.

Stała zamyślona przy zlewie pełnym naczyń, kiedy ręka w kaszmirowym swetrze sięgnęła przed nią po ścierkę do wycierania naczyń.

- Co ty wyprawiasz? - Sophie aż podskoczyła.

Łon starannie wytarł ściereczką talerz.

- Pomagam ci - odparł.

- Hrabina nie będzie zadowolona.

- Hrabina się nie dowie. Myśli, że jestem w toalecie. - Uśmiechnął się łobuzersko. Był teraz taki podobny do Łona sprzed lat, że Sophie serce się ścisnęło z żalu i nadmiaru wspomnień.

- Ani trochę się nie zmieniłeś - stwierdziła.

- Nie. Zresztą ty byś tego nie chciała. Podaj mi talerz. - Sophie zrobiło się przyjemnie, gdy wyciągnięta ręka znowu musnęła jej biust.

- Jak długo mieszkasz z hrabiną? - zapytał.
- Ponad rok. Odkąd zamknięto Humphrey House.
- Czyli dom, w którym po ślubie zamieszkała z Clive'em. - Nie stać mnie było na utrzymanie.
- Jak ci się z nią mieszka?
- Ciekawie.
- Jesteście w dobrych stosunkach, skoro udało wam się wytrzymać razem rok.
- Nie miałam wielkiego wyboru. - Sophie wzruszyła ramionami. - Ale nie jest źle. Miałam szczęście, że zgodziła się mnie przyjąć.
- Ale?
- Nie ma żadnego „ale”. Anglia to nie Ameryka Południowa. Nigdy nie będzie podobna.
- A więc myślisz czasami o Kolumbii? - zapytał Lon, sięgając po kolejny talerz.
- Bez przerwy - uśmiechnęła się, a potem zapatrzyła w pianę w zlewie. - To były najlepsze lata mojego życia.

To wiele o niej mówiło. W Elmshurst właściwie nie miała koleżanek. W tej elitarnej szkole z internatem prócz niej były jeszcze dwie dziewczyny z Ameryki, ale obie z bogatych i ustosunkowanych rodzin. Sophie nie była ani bogata, ani ustosunkowana.

- Co ci się najbardziej kojarzy z Kolumbią? - spytał.
- Buenaventura.

A więc ona też nie zapomniła wakacji w willi Wilkinsów nad brzegiem oceanu. Clive zdołał jakoś przekonać ojca, żeby zaprosił na lato i Lona, i Sophie.

- To były wspaniałe wakacje - westchnęła Sophie, wyjmując korek ze zlewozmywaka.

Powiedziała to z takim smutkiem, że Lonowi ścisnęło się serce. Musiała być bardzo samotna, ale czy w ogóle zdawała sobie z tego sprawę?

- Pojedź ze mną na święta do mojej mamy - zaproponował.

Był pewien, że przy nim będzie bardziej bezpieczna i na pewno szczęśliwsza. Chciał, żeby trzymała się z dala od Federica, chciał, żeby przynajmniej w te święta nie popełniła głupstwa.

- Nie mogę zostawić Louisy samej. - Sophie pokręciła głową.

- Ona też może z nami jechać.

- Nie pojedzie.

- No, to już jej decyzja. Nie może wymagać od ciebie, żebyś podporządkowała się jej planom.

Sophie poczuła się ocieężała i bardzo zmęczona. Przeraziła się, że nie poradzi sobie z podróżą i przygotowaniem do balu, że to dla niej stanowczo za dużo. Nie da się przecież przeskoczyć samej siebie.

Chciała, żeby już było po balu, żeby jakimś cudem Lon nie spotkał się z Federikiem, żeby już mogła siedzieć w samolocie...

Jeszcze tylko kilka dni, pomyślała. Zanim się obejrzę, już będę w Sao Paulo.

- Wracaj do Louisy - powiedziała do Lona. - Ja zaraz do was dołączę.

- O, jest nareszcie - zauważyła Louisa, gdy

Sophie weszła do biblioteki. - Zastanawialiśmy się właśnie, czy nie utopiłaś się w zlewie.

- Nie, aż tak ciekawie nie było - odparła Sophie. Spojrzała na Lona, ale on na nią nie patrzył.

- Muszę wracać do Londynu - powiedziała, całując Louise w policzek. - Dzięki za miły wieczór.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła hrabina. - Mam nadzieję, że zobaczymy cię na sobotnim balu.

- Niestety, nie. Najbliższe tygodnie mam szczerze wypełnione.

- Wielka szkoda. Sophie zaprosiła swoich przyjaciół. Na pewno byś ich polubił.

- Na pewno - zgodził się Lon z uśmiechem, który obejmował wyłącznie usta. - Wesołych świąt, Louiso.

Sophie odprowadziła go do wyjścia.

- Szykuje się wielki bal - stwierdził Lon, gdy przechodzili przez wielką, nieoświetloną w tej chwili salę balową.

- Jak zwykle - mruknęła Sophie. Doskonale wiedziała, że samo ubieranie czterometrowej choinki zajmie cały dzień jej i dwojgu służącym.

- Znam któregoś z twoich przyjaciół? - zapytał Lon.

- Raczej nie. - Sophie się zarumieniła.

- Boję się o ciebie.

- Ty się boisz? - wybuchnęła nieszczerym śmiechem. - Ty? Superman? Ty się boisz tylko kryptonitu.

Nie panowała nad swoim uczuciem do Lona, nie umiała zapomnieć o przeszłości. Jej życie stało się nie do zniesienia. Od śmierci Clive'a wciąż była zdezorientowana, pogubiona, nie mogła dojść ze sobą do ładu.

- Tęsknię za nim, Lon - powiedziała. - Brakuje mi optymizmu Clive'a, brakuje mi jego śmiechu. Nie mogę uwierzyć, że to dopiero dwa lata od jego śmierci. Mnie się zdaje, że minęło co najmniej dziesięć.

- Na pewno nie chciał cię zostawić. Nie chciał, żebyś została bez środków do życia.

- Nie krytykuj go - poprosiła.

Była przekonana, że ona także jest winna śmierci Clive'a. Nie była lojalną kochającą żoną, za jaką ją uważano. Wystąpiła o rozwód zaledwie na dzień przed nadejściem telegramu, zawiadamiającego o śmierci Clive'a. Czy to nie było przeznaczenie? Czy można było szybciej wymierzyć karę?

Tylko jeden dzień! Jakby bogowie powiedzieli: chcesz być wolna? Proszę, jesteś wolna. Życzenie się spełniło.

- Wiem, że ci go brakuje - odezwał się Lon - ale musisz zacząć znowu żyć, a nie ciągle oglądać się za siebie.

- To niemożliwe. - Sophie pokręciła głową. - Musiałabym się dowiedzieć, czemu zabili Clive'a.

- Znalazł się w niewłaściwym miejscu o nieodpowiedniej porze - wyjaśnił sucho Lon.

- Ale dlaczego? - Clive został zastrzelony z blis-

kiej odległości. Tyle wiedziała. Miał zaledwie dwadzieścia dziewięć lat. Był za młody, żeby umierać.
- Czemu się tam znalazł? Dlaczego był akurat w tym miejscu w samym środku nocy?

- Tego się chyba nigdy nie dowiemy - powiedział Lon. Otworzył sobie drzwi i wyszedł na dwór.

Padał śnieg. Duże białe płatki powoli wirowały w powietrzu, opadały na ziemię, pokrywając ją białym dywanem.

- Dawno nie widziałem śniegu. - Alonso się uśmiechnął.

Sophie wyszła za nim przed dom. Wyciągnęła dłoń, złapała delikatną śnieżynkę. Było cichutko i tak spokojnie, że aż bolało serce. Za Sophie, za Clive'a, za Lona i za ich niegdysiejszą przyjaźń.

- Co się z nami porobiło, Lon? - szepnęła, wpatrzona w wirujące płatki.

- Dorośliśmy.

- Mielśmy na zawsze pozostać przyjaciółmi, pamiętasz? Jak trzej muszkietierowie.

- *Tres amigos...* - Lon się uśmiechnął.

Trójka kumpli, troje przyjaciół: Clive, Lon i Sophie.

- Żeby można było cofnąć czas - westchnęła.

- Żeby znów było tak jak dawniej.

- Trzeba myśleć o przyszłości, *munieca*. - Lon popatrzył na nią z czułością. - Trzeba nadać życiu prawdziwy sens.

- Ale to znaczy, że trzeba zapomnieć o Clivie.

Lon nie odpowiedział, a Sophie łzy napłynęły do

oczu. Tak bardzo pragnęła przytulić się do Lona, poczuć jego ciepło i siłę.

- Nie chcę się z tobą kłócić - powiedziała cichutko. - Chcę, żebyśmy znów byli przyjaciółmi.

- To żaden problem, kochanie. - Lon starł z policzka Sophie płatek śniegu. - Musisz tylko zdecydować się na szczęście.

- Kiedy to mówisz, to zdaje się takie proste - westchnęła.

- Bo jest proste. - Lon wyjął z kieszeni kluczyki od auta. - W co się ubierzesz na przyjęcie? - spytał, chcąc zmienić temat na bardziej obojętny.

- W czarną suknię. - Sophie lekko się skrzywiła. - Jak zwykle.

- Clive nie lubił cię w czerni - przypomniał Lon.

Clive nie cierpiał czarnego koloru. Wszystko, co jej kupował, było kolorowe, radosne. Żółte, czerwone, niebieskie, zielone... Nigdy czarne!

- Czarny kolor jest bardzo praktyczny.

Lon patrzył na nią uważnie, jakby chciał przejrzeć Sophie na wylot.

- Raz cię straciłem - powiedział cicho - ale więcej nikomu cię nie oddam. Święta to dobry moment, żebyś się zaczęła do tego przyzwyczajać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sophie włożyła czarną suknię, tę samą, którą miała na sobie rok i dwa lata temu. Spojrzała w lustro.

Czarna jak wrona, pomyślała z goryczą.

Nie chciała tej czerni. Owszem, popełniła błąd, ale czy to oznacza, że straciła prawo do szczęścia? Czy to grzech, jeśli jeszcze raz w życiu będzie wyglądać ładnie? Jest Boże Narodzenie!

- Wybacz mi, Clive - szepnęła, zdejmując czarną suknię.

Pośród sukien, jakich jeszcze się nie pozbyła, była jedna, której Sophie nigdy nie miała na sobie. Kupiła ją przed ślubem na wieczorowe okazje podczas miodowego miesiąca, jednak miejscowość, do której pojechali z Clive'em była małym spokojnym miasteczkiem i Sophie nie miała okazji do zaprezentowania wieczorowej sukni.

Rozległo się pukanie, zza drzwi dobiegł głos hrabiny.

- Jest pół do szóstej, Sophie. Goście zaraz zaczynają się schodzić.

- Jestem prawie gotowa, Louiso - powiedziała, zdejmując z wieszaka czerwoną suknię.

Hrabina weszła do pokoju. Miała na sobie długą suknię z szarej satyny, naszyjnik z diamentów i pereł, broszkę z diamentów i pereł, kolczyki z diamentów i pereł, a na siwych włosach diadem, także z diamentów i pereł.

- Nie jesteś nawet ubrana! - oburzyła się Louisa Wilkins.

- Muszę tylko zapiąć suknię - powiedziała Sophie, wsuwając się w suknię z czerwonego jedwabiu.

- Chcesz wystąpić w tym? - Louisa przyglądała się podejrzliwie czerwonej sukni. - Czemu nie włożysz czarnej?

- Miałam ją na sobie już dwukrotnie.

- I dobrze, bo świetnie w niej wyglądasz.

- Clive kupił mi tę suknię - broniła się Sophie. Jednak to nie Clive zaprzętał jej myśli, tylko Lon, choć zapowiedział, że nie zjawi się na balu. - Za chwilę zejść na dół.

Sala balowa lśniła. Blask sześciu wspaniałych żyrandoli z pięciu tysięcy kryształów odbijał się w wyfroterowanej posadzce, ogromna choinka błyskała kolorowymi lampkami, orkiestra grała walca...

Jak w bajce, pomyślała Sophie.

Niestety, pierwszą godzinę balu spędziła jak Kopuszek. Witania gości przy drzwiach, odbierała od nich okrycia, przyjmowała świąteczne prezenty i robiła wszystko, by goście czuli się jak u siebie w domu. Była tak zaprzętnięta witaniem kolejnej pary, że nie zauważyła, jak wyrósł przed nią Lon z ogromnym bukietem białych lilii.

- Skąd się tu wzięłeś? - spytała zaskoczona Sophie i wyciągnęła ręce po jego wełniany płaszcz.

- Czy hrabina nie mogła tu postawić któregoś ze służących? - odpowiedział jej pytaniem i delikatnie pocałował w policzek.

- Daj spokój - poprosiła, czując, jak ogarnia ją żar.

To był zwykły powitalny pocałunek. Jak coś tak niezobowiązującego może człowieka do tego stopnia poruszyć, wzbudzić tak wielkie pożądanie? No cóż, Alonso zawsze tak na nią działał.

- Musiałem zmienić plany - wyjaśnił. - Szczęśliwy zbieg okoliczności, prawda?

Nie dla mnie, pomyślała Sophie. To, co czuła do Lona, to zwykłe szaleństwo. Nie mogła sobie pozwolić na szaleństwa.

- Oddam kwiaty Louisie - powiedziała, zadowolona, że może odejść. Ktoś musiał ją uchronić przed Alonsem. Kiedyś to zadanie należało do Clive'a, ale Clive'a nie było...

- Kwiaty są dla ciebie - powiedział Lon. - Louisie przyniosłbym żółte chryzantemy.

Z upodobaniem patrzył na szczupłą postać Sophie, odzianą w czerwony jedwab, pozbawioną jakiegokolwiek biżuterii.

- Cieszę się, że cię widzę - uśmiechnął się sztucznie. - Chciałbym poznać tych twoich wspaniałych przyjaciół.

To nie byli przyjaciele, tylko przyjaciel. Jeden. Federico Alvare. Sophie przypuszczała, że Lon już o tym wie.

- Czy to ci sami ludzie, z którymi wybierasz się do Brazylii? - zapytał.

Skąd wie, że jadę do Brazylii? - pomyślała wystraszona Sophie. Nikomu nie mówiła. Wiedział o tym tylko Federico.

- Trzeba wstawić kwiaty do wody - przypomniał Lon, nie spuszczać z niej oka.

- Nie mogę. Goście...

- Owszem, możesz. Goście mają się świetnie, za to boję się o ciebie, kochanie.

- Nie trzeba się o mnie martwić - mruknęła.

Nie lubiła tej miny u Lona. Bała się jego przenikliwego spojrzenia.

- Kiedy zamierzałaś mi opowiedzieć o swoich świątecznych planach? - dopytywał się. - A może miałaś nadzieję, że uda ci się cichaczem wyjechać z Federikiem Alvarezem?

Jeszcze przed chwilą było jej tak gorąco, że najchętniej zdjęłaby z siebie suknię, a teraz poczuła przejmujący chłód.

Skąd Lon wie o podróży? - myślała. Kto mu o tym powiedział?

Lon zauważył, że jest przestraszona. Pomyślał, że to dobrze, bo powinna się bać. Jeśli Sophie wyląduje w Sao Paulo w towarzystwie Federica, Miguel Valdez żywcem obedrze ją ze skóry.

- Chodźmy do biblioteki - wyszeptwała.

Nieniepokojeni przez nikogo przeszli przez salę balową. Sophie oddała kwiaty kelnerowi i poprosiła, by wstawił je do wazonu.

Lon otworzył ciężkie drzwi biblioteki, przepuścił przed sobą Sophie.

- Chcę się dowiedzieć wszystkiego - powiedział stanowczo, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Nie mam ci nic ważnego do powiedzenia.

- Pozwól, że ja to ocenię, kochanie.

Patrzyli sobie prosto w oczy. Lon wiedział, że Sophie nie byłaby taka pewna siebie, gdyby wiedziała, z kim ma do czynienia i w co się pakuje.

- Uprzedziłaś hrabinę o swoim wyjeździe? - spytał.

- Nie - burknęła niechętnie. - A skąd ty o tym wiesz?

- Ach, więc tylko to cię martwi?

- A o co jeszcze miałabym się martwić?

- Choćby o to, że wyczyściłaś swoje konto do zera. Dałaś obcemu człowiekowi ponad dziesięć tysięcy funtów.

Sophie milczała. Patrzyła na Lona i zaciskała pięści.

- Wystąpiłaś o brazylijską wizę - ciągnął Lon - i kazałaś Alvare kupić bilety lotnicze.

Mieli rezerwację na drugi dzień świąt. To Federico zaplanował podróż, ona zarezerwowała bilety.

- Nie wolno mi nawet pojechać na wakacje?

- Sophie się nadała. - Od śmierci Clive'a nigdzie się stąd nie ruszałam.

- Clive zginął właśnie w Brazylii - przypomniał jej Alonso.

- I dlatego nie wolno mi tam jechać?

- Na pewno nie wolno ci się zapuszczać w te okolice Sao Paulo, gdzie zginął twój mąż.

- Czyżbyś wiedział coś, o czym powinnam i ja wiedzieć? - zainteresowała się. - Czy coś przede mną ukrywasz? To ty zorganizowałeś przewiezienie ciała Clive'a do Anglii, więc...

- Ja tylko pomogłem załatwić formalności związane z pogrzebem - wpadł jej w słowo. - Za to twój przyjaciel Federico pracował razem z Clive'em w Brazylii. Pytałaś go może, w jakich okolicznościach zabito Clive'a? Senior Alvare powinien coś o tym wiedzieć.

- Zna w Sao Paulo kilku ludzi, którzy mogliby mi pomóc. Wynajął prywatnego detektywa.

- Federico wynajął detektywa? Dla ciebie?

- Co w tym dziwnego?

- Nic, prócz tego, że jemu nie można wierzyć. To niebezpieczny...

- A ty nie? - wybuchnęła Sophie.

Alonso przerażał ją co najmniej tak samo jak Federico, a nawet bardziej.

- Ty nawet nie wiesz, co znaczy to słowo, *munieca* - prychnął Lon. - Jeśli Alvare wziął od ciebie dziesięć tysięcy funtów na podróż do Brazylii, to jest zwyczajnym naciągaczem.

- Połowa tej sumy to koszt podróży, a druga ma pokryć koszt honorarium detektywa.

- Bilet do Brazylii nie kosztuje pięciu tysięcy funtów, a jeśli chciałaś przewodnika...

- To moja podróż - przerwała mu - moje kontakty

i moje plany: Mieszkałam kilka lat w Ameryce Południowej, znam trochę tamtejsze warunki. A dziesięć tysięcy funtów to drobiazg, jeśli można za nie odzyskać spokój. Zresztą w twoim świecie taka suma starcza zaledwie na drobne wydatki.

- W moim świecie... - Lon roześmiał się nieprzyjemnie. Podszedł do barku i nalał sobie whisky.
- Rzeczywiście, sytuacja nieco się zmieniła. Nie do wiary, ile może się zdarzyć przez dziesięć lat.

Przez zamknięte drzwi biblioteki przesączały się dźwięki muzyki. Zaczęły się tańce. Zgodnie z planem, punktualnie co do minuty. Na przyjęciach hrabiny Wilkins wszystko musiało działać jak w zegarku.

- Po prostu miałaś szczęście - mruknęła, obejmując się ramionami, jakby chciała się odgradzić od Lona.

- Nie żadne szczęście tylko ciężka praca. - Wpatrywał się w szklaneczkę, w której lśnił bursztynowy płyn. Dopiero po chwili popatrzył na Sophie. - Bardzo ciężka.

Nieważne, czy szczęście czy ciężka praca przyniosły mu miliony w szlachetnych kamieniach. Alonso Huntsman był właścicielem jednej z największych kopalni szmaragdów w Ameryce Południowej. Miał tak wielki majątek, że stać by go było na kupno niedużego państwa. Za gotówkę.

- Powiedz mi - zaczął Lon, świdrując ją spojrzeniem - czy gdybym pięć lat temu był bogaty, to też wyszłabyś za mąż za Clive'a? A może wybrałabyś mnie?

- Nie wyszłam za niego dla pieniędzy - obruszyła się.

- Bo on już wtedy nic nie miał, mam rację?

- Jak możesz mówić w ten sposób o Clive? - wybuchnęła. - Byłeś jego najlepszym przyjacielem, uwielbiał cię...!

- Daruj sobie, kochanie. Ty byłaś jego żoną, ale to ja znałem Clive'a jak własne pięć palców. Uwierz mi, nie był harcerzem.

Cóż to za straszny człowiek, pomyślała Sophie. Jak ja go nienawidzę!

- Wyjdz. - Podeszła do drzwi biblioteki, otworzyła je na oścież. - Przepraszę hrabinę w twoim imieniu. Będzie jej przykro, że musiałeś tak prędko nas opuścić, ale na pewno zrozumie obowiązki człowieka interesu.

- Nie mam w tej chwili żadnych spraw do załatwienia - oznajmił Lon, nie ruszając się z miejsca.

- Chcę, żebyś sobie poszedł! - wykrzyknęła, na chwilę tracąc panowanie nad sobą.

- Zamknij drzwi, Sophie - poprosił obojętnie Lon. - Robisz przeciąg.

- Nie pozwolę ci obrażać mojego męża w jego własnym domu!

- To nie jest jego dom. Ten dom należy do matki Clive'a, tak jak Humphrey House należał do jego ojca. Clive nigdy nie miał nawet własnego mieszkania.

Krew napłynęła jej do twarzy, coraz trudniej było zachować spokój. A przecież musiała się opanować.

To tylko Alonso, tłumaczyła sobie w duchu.

Barbarzyńca, odmieniec, zagubiona dusza, która nigdy nie zaznała dobrodziejstw właściwego wychowania... Bez ojca, bez matki, od czwartego roku życia skazany na szkoły z internatem...

A jednak dziesięć lat temu byli przyjaciółmi, potrafili otwarcie rozmawiać o życiu, o miłości, nawet o seksie. I o przyszłości. Niestety, przyszłość okazała się zupełnie inna, niż się spodziewali.

Sophie wzięła głęboki oddech, powoli zamknęła drzwi.

- Zostanę - powiedziała - ale jak nie przestaniesz obrażać Clive'a, to ja przestanę cię szanować.

- Czy to znaczy, że już nigdy nie zwrócisz się do mnie o pomoc? - zakpił.

- Nigdy nie prosiłam cię o nic dla siebie - powiedziała cichutko Sophie. - Zawsze robiłam to dla Clive'a.

Dwa lata po ślubie Clive był właśnie w jakimś małym państewku Trzeciego Świata, kiedy wybuchła tam wojna. Rząd zamknął lotnisko i Clive nie mógł się stamtąd wydostać. Zdołał do niej zadzwonić z tego lotniska. Niewiele słyszała, co do niej mówi, bo w słuchawce terkotał karabin maszynowy. Clive dzwonił, żeby się pożegnać, lecz Sophie nie chciała przyjąć do wiadomości porażki, nie chciała, żeby jej małżeństwo skończyło się w taki sposób. Jakoś udało jej się znaleźć Lona. Błagała go o pomoc i Alonso pomógł. Jak zwykle. Uratował nie tylko Clive'a, ale jeszcze ponad czterdziestu obywateli Europy i Australii.

Sophie nigdy nie pytała, jak to zrobić. Wiedziała tylko, że kontakty w różnych stronach świata oraz nadzwyczajna odwaga pozwalają mu dokonywać czynów, na jakie nikt inny by się nie poważył.

- Czy kiedykolwiek ci odmówiłem, Sophie? - zapytał.

Gdy zginął Clive, Lon znów musiał interweniować. Tym razem w Brazylii. Nie tylko sprowadził ciało jej męża do Anglii, ale także uciszył niemiłe plotki o tym, że lord Clive Wilkins miał być jakoby zamieszany w jakieś ciemne interesy w Ameryce Południowej.

Nie odpowiedziała. Z sali balowej dobiegł czyjś głośny śmiech. Sophie przechyliła głowę, nasłuchiwała odgłosów balu. Powinna stąd wyjść, iść do gości. Nie mogła. Jakby Alonso trzymał ją na niewidzialnej smyczy. Nie chciała tej uwięzi, bała się jej. Gdyby mu tylko pozwoliła, kontrolowałyby każdy jej krok, na zawsze przykułyby ją do siebie. Właśnie dlatego od niego uciekła, schowała się pod skrzydłami Clive'a i jego rodziny.

- Muszę wracać do gości - powiedziała. - Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Poproszę dżin z tonikiem - powiedział Lon, podchodząc do baru.

W ślad za Lonem do baru podeszła szczupła długonoga blondynka. Amanda, córka lorda Lindleya.

- Dla mnie to samo - powiedziała do barmana i puściła oko do Lona.

- Witaj, Manda.

- Czemu do mnie nie dzwonisz? - spytała, spoglądając na niego z wyrzutem.

- Ponieważ jestem dla ciebie za stary - odparł, wręczając jej szklanekę z koktajlem.

- Nic podobnego. Zresztą, nawet gdybyś był, to i tak jesteś rewelacyjny. Wiesz, że chcę, żebyś zadzwonił.

- Nie znam numeru telefonu.

- Ale ja znam twój, więc chyba sama do ciebie się odezwę.

Lon się roześmiał. Czasy się zmieniły, pomyślał. I kobiety są inne. Wiedzą, czego chcą, i sięgają po to bez oporów.

- Twój tata nie będzie zadowolony.

- Mylisz się. Wie, że jesteś człowiekiem interesu i że bardzo mi się podobasz.

- Rozumiem. - Lon się roześmiał. - Twój tata uważa, że mnie na ciebie stać.

- Bo to prawda.

Podniósł do ust szklanke, choć właśnie odechciało mu się pić. Manda też wyleciała mu z głowy. W sali balowej pojawiła się Sophie w jaskrawoczerwonej sukni. Nie była sama. Federico Alvare przybył na bal, tak jak obiecał.

Alonso przyglądał się, jak Federico i Sophie tańczą, jak ręka Alvare obejmuje jej talię, jak on pochyla głowę, jakby z zainteresowaniem wsłuchiwał się w to, co Sophie ma mu do powiedzenia.

Lon zacisnął zęby w bezsilnej złości. Zabiję go, jak nie przestanie jej dotykać, pomyślał.

- Nie słuchasz, co do ciebie mówię - poskarżyła się Amanda, dotykając ramienia Lona.

- Przepraszam - powiedział - ale muszę zostawić cię samą. Mam sprawę do załatwienia.

Sophie cierpła skóra od dotknięć Federica. Wciąż jej dotykał, odkąd przekroczył próg Melrose Court. Chciała go z siebie strząsnąć, kazać mu zabrać łapy, ale bała się go zrazić. Federico był jej przepustką do Brazylii; wiedział coś ważnego o śmierci Clive'a, znał prawdę, którą Sophie koniecznie musiała poznać.

Spokojnie, powtarzała sobie w myślach. Wytrzymaj. Już niedługo będziesz w Brazylii.

- Wspaniałe przyjęcie, Sophie - usłyszała za plecami głos Lona. Pocałował ją w policzek, po czym zwrócił się do Federica: - Cóż za niespodziewane spotkanie, senior Alvare. Nie przypuszczałem, że lubi pan takie imprezy.

- Nie przypominam sobie, żebyśmy zostali sobie przedstawieni - odezwał się Federico, obejrzawszy sobie Lona od stóp do głów.

- Owszem, spotkaliśmy się - powiedział Lon. - Wielokrotnie ze sobą... rozmawialiśmy.

Oczywiście, jeśli strzelaninę można nazwać rozmową, pomyślał.

- Niemożliwe. - Federico pokręcił głową. - Musiał mnie pan z kimś pomylić. Dla was, Europejczyków, wszyscy południowcy są jednakowi.

- Ja też pochodzę z Ameryki Południowej. Rodzina mojego ojca mieszka w Buenos Aires.

- Ale ma pan angielski akcent.

- Uczyłem się w angielskich szkołach. - Lon zmusił się do uśmiechu. Miał wielką ochotę chwycić tego drania za gardło, a potem powoli rozrywać go na strzępy. - Co cię sprowadza do Anglii?

- Przyjechałem zrobić świąteczne zakupy - odparł z uśmiechem Federico. - Poza tym będę miał przyjemność towarzyszyć lady Wilkins w jej noworocznej podróży do Sao Paulo.

- Chciałabym odwiedzić miejsca, w których pracował Clive - odezwała się Sophie. - Senior Alvare był tak uprzejmy, że zagwarantował mi opiekę renomowanego prywatnego detektywa.

- Cóż za niezwykła uprzejmość - syknął Lon, biorąc Sophie pod rękę. - Mogę zamienić z tobą parę słów, *munieca*?

Nie czekając na odpowiedź, pociągnął ją za sobą. Wyszli z sali balowej przez zakryte kotarą z brokatu drzwi, którymi wchodzili kelnerzy, przeszli przez pomieszczenie dla służby, aż znaleźli się w kuchni.

- Po co mnie tu przyprowadziłeś? - irytowała się Sophie.

- Żebyśmy mogli sobie spokojnie porozmawiać - burknął.

Lon posadził Sophie za wielkim stołem ustawionym w kącie, tuż obok kominka.

- Siadaj - polecił. - Bardzo cię proszę - dodał po krótkiej chwili.

W ogromnej kuchni było pełno ludzi, zarówno stałych służących, jak i dochodzących. Alonso poprosił kelnera o dwie kawy: jedną czarną, a drugą z mlekiem i cukrem. Potem zdjął marynarkę, okrył nią nagie ramiona Sophie.

- Szaleństwem byłaby wyprawa po zakupy w towarzystwie tego typu, a o podróży do Brazylii lepiej w ogóle nie wspominać - zaczął, siadając obok niej przy wielkim stole. - To zły człowiek, Sophie.

- A co to? - spytała, wskazując marynarkę Lona. - Zbroja, która ma mnie przed nim ochronić?

- Założyłbym ci nawet pas cnoty, gdybym miał pewność, że to coś pomoże.

- Średniowieczne metody - mruknęła, ale nie zdjęła marynarki Lona.

- Bardzo cywilizowane w porównaniu z tym, co bym chciał z tobą zrobić.

- Nie jestem twoją własnością.

- Nie chcę cię mieć na własność - zapewnił ją Alonso - tylko dbam o twoje bezpieczeństwo.

A więc uważał, że Federico stanowi zagrożenie, że nie będzie przy nim bezpieczna. Ale czy w towarzystwie Alonsa czułaby się lepiej?

- Czy mam ci opowiedzieć o twoim przyjacielu?
- dręczył ją Lon.

- Nie.

- Jest po uszy ubabrany w narkotykowym interesie - oznajmił mimo sprzeciwu Sophie. - Jeśli koniecznie chcesz jechać do Brazylii, to pojedź tam ze mną. Znam ten kraj, wiem, gdzie można się zatrzymać, żeby było bezpiecznie. I mam przyjaciół, którzy się naprawdę o ciebie zatroszczą.

- Doceniam twoją troskę, Alonso - Sophie pokręciła głową - ale tę sprawę muszę załatwić po swojemu.

- Dlaczego?

- Mam powody - odparła. Chciała wstać, ale Lon ją przytrzymał.

- Co to za powody, Sophie? - zapytał. - Powiedz mi. Chcę wiedzieć, co cię dręczy i co zamierzasz zrobić. Skan i przerobienie pona.

- Zrobiłam coś okropnego, Lon - przyznała, nie patrząc na niego. - Nawet tobie nie mogę o tym opowiedzieć.

- Na pewno da się to naprawić, Sophie - przekonywał.

Nie wierzył, żeby mogła zrobić coś naprawdę złego, a gdyby nawet, to i tak nie zamierzał jej puścić do Brazylii w towarzystwie Alvare. Nie mógł pozwolić, by miała coś wspólnego z Valdezem, żeby poszła w ślady swojego męża.

- Tego naprawić się nie da. - Sophie wstała od stołu, zdjęła marynarkę, oddała ją Lonowi. - Przepraszam, teraz już naprawdę muszę wracać do gości.

- Do Federica - skrzywił się Alonso.

- Musisz mi zaufać, Lon. - Sophie nie dała się sprowokować, choć z coraz większym trudem zachowywała spokój.

- Nie, Sophie, to ty musisz zaufać mnie. Wiem o sprawach, o których ty nie masz pojęcia, bywałem w takich miejscach, jakich nie umiesz sobie nawet wyobrazić...

- Tu jesteś, Sophie! - zawołała hrabina, wpadając do kuchni. - Wszędzie cię szukałam. Lady Halverson nie może znaleźć etoli z szynszyli. Taka jasnoszara...

- Tak, pamiętam - przerwała jej Sophie.

- Wiedziałam - Louisa odetchnęła z ulgą. - Chodź szybko i pomóż znaleźć tę etolę, zanim lady Halverson doprowadzi do szału wszystkich gości. Wiesz, jaka z niej histeryczka.

- Tak, wiem. - Sophie spojrzała Lonowi prosto w oczy. - Obowiązki wzywają.

- Obiecuj mi, że nie popełnisz głupstwa - poprosił. - Nie wsiadaj do samolotu z Alvare. Jeżeli musisz jechać do Brazylii...

- Dziękuję - szepnęła i bez ostrzeżenia pocałowała

go w policzek. - Za to, że wciąż się o mnie troszczysz i że dobrze mi życzysz. Jestem ci za to bardzo wdzięczna. Bardziej niż możesz sobie wyobrazić.

Wyszła. Lon został w kuchni sam. Już się bał o Sophie. Musiał się bardzo postarać, żeby za nią nie pobiec.

Jest taka niewinna, myślał. Ona nie ma pojęcia, że istnieje okropny świat, który potrafi wciągnąć nawet najlepszego człowieka. Nie ma pojęcia, jaki straszny stał się świat, w którym żył jej mąż. Jak ja mam ją ochronić? Jak sprawić, żeby nie poznała prawdy o Clivie? I jak ją obronić przed Valdezem, przed Alvare i... przede mną?

„Ty jesteś supermanem”, przypomniał sobie słowa Sophie.

No tak, pomyślał. Jestem supermanem. Na pewno jakoś sobie poradzę.

Federico odczekał, aż Sophie pożegna lorda i lady Halverson, a gdy tylko drzwi zamknęły się za gośćmi, wziął ją pod rękę.

- Co on ci powiedział? - zapytał cicho.
- Nie chce, żebym z tobą jechała - odparła Sophie.
- Dlaczego? - Federico przyglądał się jej uważnie.
- Uważa, że... lepiej zrobię, jeśli pojedę z nim. Podobno ma w Brazylii przyjaciół...
- Na pewno, ale co to za przyjaciele? - Federico położył dłonie na nagich ramionach Sophie. Był o głowę niższy od Lona, więc nie musiał się mocno schylać, żeby spojrzeć jej prosto w oczy. - Zareczam,

że jego przyjaciele nie wiedzą tego, co wie mój człowiek w Sao Paulo.

Skinęła głową. W tej chwili najbardziej ze wszystkiego chciała wrócić do swojej sypialni, zdjąć z siebie tę czerwoną suknię, a potem ubrać się w coś wygodnego i bardzo ciepłego.

- Jeśli się boisz, że będzie cię dalej dręczył, to możemy polecieć jutro o świcie - Federico ściszył głos do szeptu. - O szóstej rano jest pierwszy lot do Sao Paulo. Nie musimy czekać, aż miną święta.

- Ale... - popatrzyła na niego niezdecydowana.
- Nie jestem spakowana.

- Cóż to za problem się spakować? - kusił Federico. - Przyjadę po ciebie około czwartej rano. O szóstej będziemy w powietrzu.

- Myślisz, że to się uda?

- Na pewno się uda. Mamy bilety pierwszej klasy i ważne wizy, więc nie będzie problemu z przyspieszeniem odlotu o kilka dni.

W drzwiach stanął Alonso. Sophie wyobrażała sobie, co zobaczył: ona i Federico sam na sam, Federico trzyma dłonie na jej ramionach...

Wiedziała, że Lon nie zrezygnuje, że nie wypuści jej z Anglii samej. W najlepszym razie polecą za nią. Najpewniej tym samym samolotem. Błyskawicznie podjęła decyzję.

- Dobrze - powiedziała. - Lecimy jutro z samego rana.

Lon wrócił do domu poirytowany. Nie powinien

był zostawiać Sophie samej w Melrose Court. Należało ją obserwować dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Gdyby tylko mógł, zabrałby ją ze sobą. Przy nim byłaby bezpieczna i na pewno nie zrobiłaby nic głupiego.

Sophie nie mogła sama znaleźć Federica, pomyślał. To on musiał się do niej zgłosić. Dlaczego?

Wjechał do garażu i przez chwilę stał z włączonymi światłami. Zastanawiał się. Miał wrażenie, że przegapił coś bardzo ważnego. Miał to tuż przed nosem, ale nie potrafił dostrzec, co to takiego, bez przerwy mu umykało.

Lon wyłączył światła, potem silnik. Zabębnił palcami o kierownicę.

Alvare nie krył się ze swoją znajomością z Sophie. Czemu człowiek poszukiwany przez tajną policję kilkunastu państw publicznie spotyka się z Sophie, bywa z nią w restauracjach?

Federico Alvare chce, żeby zwrócono na niego uwagę! Chce, by służby specjalne się o tym dowiedziały, żebym ja się o tym dowiedział!

Bardzo chciał zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, co takiego przeoczył. Musiał się tego dowiedzieć, nim Sophie wsiądzie do samolotu, bo kiedy znajdzie się w Brazylii...

To będzie katastrofa! Nie tylko dla niej, ale także dla mnie.

Przed dwoma laty w Sao Paulo zginęło sześciu ludzi: Clive, dwóch brytyjskich agentów i trzech ludzi Valdeza, w tym jego młodszy brat. Tylko

Lonowi udało się przeżyć. Przewieziono go helikopterem do najbliższego punktu sanitarnego. Był jeszcze w szpitalu, w bardzo kiepskim stanie, kiedy Sophie zadzwoniła do niego, prosząc o pomoc. Wypisał się ze szpitala na własne żądanie, żeby stawić się w Anglii na pogrzebie Clive'a.

Sophie nigdy się nie dowiedziała, że Lon był ranny. Nie powiedział jej, że wieczorem, zaraz po pogrzebie, znów trafił do szpitala z ostrym krwotokiem wewnętrznym. Zażądał, żeby zachowano to wszystko w tajemnicy. Sophie miała już dość zmartwień. Nie chciał, żeby jeszcze i o niego się martwiła.

Zasnął. Śniła mu się tamta noc w Sao Paulo. Ale to nie koszmar go obudził, tylko pikanie komputera w sąsiednim pokoju.

Alonso usiadł, popatrzył na budzik. Była szósta rano. Pikanie komputera oznaczało, że Sophie przed chwilą opuściła Anglię. Tamtego dnia, gdy został na obiedzie w Melrose Court, Lon ukrył w telefonie Sophie czujnik GPS. To ten czujnik nadał sygnał do komputera Lona.

O piątej dwadzieścia Sophie i Federico weszli na pokład samolotu, lecącego do Sao Paulo. Punktualnie o szóstej Boeing 777 uniósł się w powietrze.

Po dziesięciu godzinach lotu wylądowali w Sao Paulo i taksówką pojechali do hotelu.

Powitał ich kierownik, cały w uśmiechach. Zapewnił, że zarezerwował dla nich najpiękniejszy

apartament i osobiście zaprowadził do niego znamienitych gości.

Pokój Sophie był cały biały. Jedynym kolorowym akcentem była leżąca na podłodze skóra zebry i czerwony wazon z czerwonymi różami.

Nie zdążyła się nawet rozpakować, gdy przyszedł Federico, pytając, czy jest już gotowa do wyjścia na miasto.

- Na miasto? Teraz? - zdziwiła się. - Jestem bardzo zmęczona. Chciałabym się przespać.

- Nie możesz spać. - Federico podszedł do okna, rozsunał białe zasłony. - W Brazylii jest teraz dzień. Trzeba się przyzwyczaić do zmiany czasu. Zresztą za kwadrans mamy spotkanie z seniorem Chebe, twoim prywatnym detektywem.

Zrezygnowana Sophie pozwoliła się wyprowadzić z pokoju, zjechała z Federikiem do hotelowego holu. Senior Chebe, niski grubasek, uśmiechnął się szeroko na powitanie.

- Pani zna portugalski? - zapytał.

- Niezbyt dobrze - odparła Sophie, słaniając się ze zmęczenia. Być może Federico nie potrzebował snu, ale ona z trudem trzymała się na nogach. - Trochę lepiej mówię po hiszpańsku, ale też niezbyt płynnie.

- Wobec tego pozostaniemy przy angielskim. Nie mówię najlepiej, ale będę się starał.

Wyszli z hotelu na zalany słońcem plac. Mimo wczesnej pory było bardzo gorąco.

Na podjeździe czekał czarny samochód. Senior

Chebe usiadł za kierownicą, a Sophie i Federico - z tyłu. Sophie bardzo żałowała, że nie zajął miejsca obok kierowcy.

- Czy znał pan mojego męża? - spytała, pochylając się do detektywa.

- Nie znałem, ale bardzo dużo o nim słyszałem. Pracował w tutejszym oddziale Bank of England. Zajmował się rachunkami instytucji rządowych.

- Ci ludzie, z którymi mam się spotkać... - kontynuowała Sophie - czy ktoś z nich pracował z moim mężem w banku?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo - odparł Chebe.

- Nie sądzi pan, że powinniśmy zacząć od spotkania z ludźmi, którzy tam pracowali?

- Ci ludzie raczej nie dostarczą informacji, jakich pani potrzebuje - Chebe uśmiechnął się pod wąsem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przykucnięta w kącie drewnianej chaty, Sophie kurczowo ścisnęła w dłoni telefon komórkowy.

Odbierz, Alonso, odbierz, błagała w duchu. Musisz odebrać.

Lon nie odbierał. Wprawdzie w słuchawce odzywał się jego głos, ale było to tylko nagranie.

Sophie się rozłączyła. Patrzyła na telefon, zastanawiając się, do kogo jeszcze może zadzwonić, kto prócz Lona wie, co zrobić w takiej sytuacji. Tylko jego mogła być pewna. Jeśli ktokolwiek mógł ją znaleźć w tej głuszy, to tylko on.

Ponownie wybrała ten sam numer. Nie zwracała uwagi na pot spływający po plecach ani na kąsające komary. W dżungli było mnóstwo insektów. Sophie nigdy nie lubiła dżungli.

Po co w ogóle tu przyjechałam? - pomyślała zrozpaczona. I zaraz sobie przypomniała. Clive!

Nie mogła sobie teraz pozwolić na rozmyślenia o nim. Clive już jej nie pomoże. Trzeba działać, coś zrobić.

Numer Lona znów się odezwał i tym razem także było to nagranie, lecz Sophie się nie rozłączyła.

- Lon, to ja, Sophie - mówiła prędko. - Mam wielkie kłopoty. Ogromne... - przerwała, usłyszawszy na zewnątrz jakieś krzyki.

Nasłuchiwała, ale głosy ucichły, więc zbliżyła usta do mikrofonu i mówiła szeptem:

- Jestem w Brazylii, Lon. Zabrali mnie tuż pod granicę, w pobliże wodospadów Iguasu. Zabili seniora Chebe. Nie wiem, co zrobili z Federikiem, ale jest bardzo źle, Lon. Bardzo.

Z hotelu pojechali na lotnisko, a stamtąd samolotem w pobliże wodospadu. Z lotniska, na którym lądowały wszystkie samoloty z turystami, pojechali samochodem. Sophie nie wiedziała dokąd. Ani Federico, ani senior Chebe nie chcieli jej powiedzieć. To miała być niespodzianka. W drodze auto wpadło w zasadzkę. Bandyty kazali im wysiąść. Nelo Chebe protestował, więc go zastrzelili. Potem zawiązali Sophie oczy, wrzucili ją na pakę jakiejś półciężarówki i bardzo długo gdzieś więzili. Sophie nie wiedziała, czy trwało to pół godziny, czy znacznie dłużej.

Znowu rozległ się krzyk. Tym razem tuż obok chaty. A potem kroki...

Sophie wyłączyła telefon, rozejrzała się po małym pomieszczeniu. Było tylko jedno miejsce, gdzie dałoby się ukryć telefon: wąska metalowa prycza. Prędko wsunęła go pod materac, usiadła na pryczy i niemal w tej samej chwili drzwi się otworzyły.

Do chaty weszło kilku mężczyzn. Patrzyli na Sophie, a ona bała się coraz bardziej. Mimo to wyprostowała się, dumnie uniosła do góry głowę.

Była przecież żoną Clive'a Wilkinsa. Musiała się zachowywać jak dama.

- Mówiła pani, że jest Amerykanką - odezwał się mężczyzna stojący przed innymi. Nie miał karabinu maszynowego, tylko dwa pistolety i nóż.

- Jestem Amerykanką.

- Gdzie paszport?

- Nie wzięłam ze sobą paszportu.

- Dlaczego?

- Nie wiedziałam, że będzie potrzebny - odparła, starając się zachować spokój.

- Miejsce urodzenia? - wypytywał bandyta.

- Omaha, stan Nebraska.

- Ma pani angielski akcent.

A więc ktoś jednak docenił jej wysiłek włożony w lekcje dykcji, które hrabina Wilkins kazała jej brać przed ślubem!

- Od dziesięciu lat mieszkam w Anglii.

Mężczyzna wyjął z kieszeni mały notesik i ogryzek ołówka.

- Nazwisko po mężu? - spytał.

- Tak - potwierdziła Sophie, a on to zapisał.

- Nazwisko panieńskie?

- Johnson.

To także sobie zapisał.

- Zrzekła się pani obywatelstwa amerykańskiego? - wypytywał. Bardzo dobrze mówił po angielsku.

- Nie. Mieszkam w Anglii, ponieważ mój mąż jest Anglikiem.

- Kto wydał pani paszport? Amerykanie czy Angliki?

- Rząd Stanów Zjednoczonych.

Sophie opuściła Stany Zjednoczone, kiedy miała siedemnaście lat. Nie czuła się Amerykanką.

- Powiedziała pani, że mąż jest Anglikiem.

- Tak - potwierdziła Sophie.

- Gdzie on jest teraz?

- W domu - odparła Sophie, a jej serce ścisnęło się boleśnie. - W Somerset.

- Rozumiem. - Mężczyzna skinął głową. - Pani mąż... seniora Wilkins, jak mu na imię?

Bała się coraz bardziej. Nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Patrzyła na potężnie zbudowanego mężczyznę, na jego sumiaste wąsy.

- Zapomniała pani, jak mąż ma na imię? Tak szybko? - Mężczyzna się roześmiał, ale tylko ustami. Oczy pozostały lodowate.

Sophie zadrżała i on to zauważył.

- Jak mu na imię, seniora?

- Clive - wyszeptała.

- Niezwykłe imię.

Łzy nabiegły jej do oczu. Nienawidziła się za to. Przecież nie chciała okazywać słabości.

- To angielskie imię - powiedziała cicho.

- Odpowiednie dla angielskiego lorda.

Skąd on to wie? Skąd wie, że Clive był arystokratą? Jak mógł się tego dowiedzieć? A może to tylko żart?

Mężczyźni wyszli z chatki. Sophie jeszcze przez jakiś czas siedziała bez ruchu.

Czas płynął powoli. Wreszcie zapadł wieczór, zrobiło się ciemno. Sophie właśnie na to czekała. Wcześniej bała się wyciągnąć telefon spod materaca. Była wdzięczna losowi, że bandyci go nie znaleźli. Dokładnie przeszukali jej torebkę, ale nie zauważyli cieniutkiego jak karta kredytowa telefonu w kieszeni letniego płaszcza.

Ponownie wybrała numer Lona. Gorąco się modliła, żeby tym razem odebrał. Jej prośby zostały wysłuchane.

- Alonso! - wyszeptała.

- Sophie!

- Oskarżają mnie o przemyt, Lon - wybuchnęła Sophie. - Chyba narkotyków, ale nie jestem pewna. Strasznie długo mnie przesłuchiwali. To naprawdę źle wygląda...

- Nikt ci nie zrobi krzywdy - zapewnił ją Lon. Jego głos brzmiał rzeczowo, bardzo stanowczo.

- Oni zastrzelili seniora Chebe!

- Ciebie nikt nie skrzywdzi - powtórzył.

- Och, Alonso, tak strasznie się boję!

Pierwszy raz w ciągu ostatnich dwóch lat Alonso usłyszał w jej głosie histerię. Sophie zawsze była opanowana, zawsze spokojna. Nawet na pogrzebie Clive'a. Teraz była przerażona.

- Gdzie jesteś? - zapytał, spoglądając na ziemię, która zbliżała się coraz szybciej. Samolot podchodził do lądowania.

- W pobliżu wodospadu albo nad dużą rzeką. Słyszę płynącą wodę.

Na ziemi panował mrok, błyskały nieliczne światła. Setki kilometrów dżungli i tylko nieliczne ludzkie osady.

Alonso wszedł do swego samolotu rano, kilka godzin po odlocie Sophie. Podczas podróży włączył komputer, zalogował się do systemu satelitarnego i śledził ruchy Sophie. Dzięki czipowi, który umieścił w jej telefonie -jedyna rozsądna rzecz, jaką dotychczas zrobił - mógł precyzyjnie zlokalizować miejsce pobytu Sophie. Ludzie Valdeza więzili ją w bezludnej części dżungli na północ od wodospadu. Niełatwo ją będzie stamtąd wydostać, lecz Alonso wykonywał trudniejsze zadania.

- Dobrze - powiedział.

- Ja bym z nimi poszła dobrowolnie - żaliła się Sophie. - Nie musieli strzelać do seniora Chebe...

- Co to za jeden, ten Chebe?

- Był moim przewodnikiem. To ten prywatny detektyw, któremu wysłałam pieniądze.

Alonso wiedział, że nie dała żadnych pieniędzy nikomu prócz Federica. Przesłała je na jego konto w brazylijskim banku. Jeśli Chebe w ogóle zapłacił, to zapłacił mu Federico, a nie ona.

- Oni nigdy nie proszą - Lon mówił spokojnie, bez emocji. Jakby rozmawiali o pogodzie. Musiał ją uspokoić. Chciał, żeby mogła logicznie myśleć, żeby mu pomogła, żeby zyskała dla niego trochę czasu.

- Ci ludzie są brutalni. Ten cały Chebe równie dobrze mógł być jednym z nich.

- Jeśli tak, to po co go zastrzelili?

- Żeby zrobić wrażenie i żeby cię przekonać, że nie żartują. I jedno, i drugie im się udało.

Zamilkła. Słysząc było tylko jej stłumione łkanie.

- Powiedz mi jeszcze coś o miejscu, w którym jesteś - poprosił - i o ludziach, którzy cię porwali.

- Jest ich całkiem sporo. - Sophie pociągnęła nosem. - Tu chyba dzieje się coś złego. Strasznie dużo krzyczą. Prawie cały czas krzyczą, a rano strzelali. Czemu mnie oskarżają o przemyt narkotyków?

Alonso dobrze wiedział, ale nie zamierzał jej o tym informować, zwłaszcza przez telefon.

- To znaczy, że z tobą rozmawiali? - spytał.

- Zadawali mnóstwo pytań. Pytali o Clive'a. Chyba wiedzą, kim jest. Myślę, że wiedzieli, kim jestem, zanim mnie porwali.

Jasne, że wiedzieli. Clive pracował dla Valdeza i Alvare. To Federico go wciągnął w to szambo.

- Potrzebuję czasu, Sophie - powiedział Lon. - Jedną dobę. Zrozumiałaś, co powiedziałem?

Nie potrzebował aż tyle, ale wołał, żeby się nie martwiła, gdyby przypadkiem coś poszło nie tak.

- Jedną dobę - powtórzyła głucho, jakby mówiła o latach, nie o godzinach.

Dla niej pewnie było to kilka lat. Dla Lona zresztą też. Jak nikt na świecie wiedział, ile złego może się zdarzyć w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Boję się, Lon.

Zamknął oczy, wyobraził ją sobie... Długie, czarne włosy, poważne niebieskie oczy... Clive na nią nie zasługiwał. Nie doceniał jej, nawet jej nie rozumiał.

- Nie bój się, Sophie. Jak się rano obudzisz, ja już będę przy tobie. Nawet jeśli mnie nie zobaczysz, to będę bardzo blisko. Nic złego ci się nie stanie, obiecuję.

- A gdyby jednak się stało...

- Nic się nie stanie - powtórzył stanowczo.

Miał kontakty na całym świecie. Niektórych ludzi znał bardzo długo i wielokrotnie z nimi pracował. Ci ludzie będą chronić Sophie za wszelką cenę. Trzej najlepsi już są w Iguasu. Lon przekazał im e-mailem pozycję Sophie. Wiedział, że jeśli zajdzie potrzeba, szybko i sprawnie zrobią, co należy.

- Daj mi jeden dzień - powiedział, tym razem ostro, rozkazującym tonem. - O nic więcej nie proszę.

- Dobrze - powiedziała cichutko.

- Wytrzymaj - poprosił na pożegnanie. - Wkrótce się zobaczymy.

Samolot wylądował. Lon wziął torbę podróżną i komputer, wyszedł na płytę lotniska.

Iguasu leżało ponad tysiąc kilometrów od Buenos Aires. Nieduże lotnisko było przeznaczone głównie dla turystów, którzy tłumnie odwiedzali wodospady, lecz samoloty z ludźmi przylatywały dopiero rano. Nie było tłoku, więc Lon prędko wy dostał się na ulicę, gdzie czekał na niego dżip z kierowcą.

- Witaj, Alonso. - Kierowca wysiadł z samochodu.

Mówił z teksańskim akcentem. Tak samo jak Lon miał trochę ponad trzydzieści lat, był szczupły i opalony; mógłby z powodzeniem reklamować zdrowy styl życia.

- Cieszę się, że znów cię widzę, Flip. - Lon uściśnął wyciągniętą dłoń mężczyzny.

Kiedyś wykonywali razem wspólną misję i prędko się zaprzyjaźnili. Flip odszedł z CIA w tym samym roku, w którym Lon zrezygnował z pracy w MI6. Podczas gdy Lon zajął się swoją kopalnią szmaragdów, Flip założył agencję ochrony. Był najlepszy w tej branży.

- Wszyscy już są na miejscu? - zapytał Lon, wsiadłszy do auta.

- Jesteśmy gotowi - odparł Flip i włączył silnik.

- Nie będzie łatwo - uprzedził Lon.

- A kiedyś było? - Flip się roześmiał.

Zajechali przed hotel, z którego pokoi rozciągał się widok na argentyńską część wodospadu.

- Tutaj masz klucz - powiedział Flip, podając Lonowi kopertę. - Dostałeś apartament na ostatnim piętrze. Penthouse. Jest zarezerwowany na nazwisko Galvan.

- Dzięki.

- Powiedz mi, co ona wie? - zapytał Flip.

- Niewiele.

- Wie o twoich związkach ze służbami specjalnymi?

- Nie.

- Co wie o Galvanach?

- Nic.

- Kiedy się zorientowałeś, że porwali ją, żeby dostać ciebie?

- Od początku coś mi w tej historii nie pasowało,

ale dopiero gdy do mnie zadzwoniła, zdałem sobie sprawę, że właśnie o to chodzi.

- A więc ona jest tylko przynętą. Porwali twoją kobietę i spokojnie czekają, aż po nią przyjdiesz.

- Wiedzą, że po nią przyjdę. - Lon się uśmiechnął. - Poszedłbym za nią do piekła, gdyby była taka potrzeba.

- Zrobimy to za ciebie - Flip uśmiechnął się pod wąsem.

- Nic z tego - zaprotestował Lon. - Ja muszę tam być. Gdyby coś poszło nie tak, gdyby... jej coś się stało... Rozumiesz, muszę być przy niej.

Lon miał tylko kilka godzin na odświeżenie się i krótką drzemkę. Spotkanie z Flipem i jego ludźmi zaplanowano na wpół do czwartej. Godzinę później mieli zabrać bandytom Sophie, żeby jeszcze przed świtem znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Miał nadzieję, że akcja przebiegnie zgodnie z planem.

Sophie trzęsa się ze strachu. Była spocona jak mysz. Bandyci znów ją odwiedzili. Tym razem było ich czterech: trzech, których już widziała i... Federico Alvare.

Z początku myślała, że przyszedł ją uwolnić, ale kiedy stanął na czele grupy i popatrzył na nią obojętnie, jakby jej nigdy wcześniej nie widział, zrozumiała, że to on stał za tym porwaniem.

- Ty... jesteś jednym z nich - wyszeptała.

Nadal nie mogła uwierzyć, że to Lon miał rację,

a ona była w błędzie. Nie mogła uwierzyć, że tak łatwo dała się zwieść urokowi Federica.

- Czy twój telefon działa w naszej dżungli? - spytał bez ceregieli. - Udało ci się dodzwonić?

Sophie milczała. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Skąd wiedział, że miała telefon? Skąd wiedział, że dzwoniła? Na szczęście nie mógł wiedzieć do kogo!

- Specjalnie ci go pozostawiono - ciągnął Federico. - Czy skontaktowałaś się z tym, z kim chciałaś porozmawiać?

Nadal nic nie mówiła. Pociła się coraz intensywniej. To było straszne.

- Gdzie masz ten telefon? - dopytywał się Federico? - Daj mi go. I lepiej nie rób głupstw.

Pokazała palcem na pryczę. Federico uniósł materac, znalazł schowany pod nim telefon, a potem sprawdził spis rozmów wychodzących.

- Jak się miewa nasz przyjaciel, senior Galvan? - zapytał.

- Nie znam żadnego Galvana - Sophie odzyskała mowę.

- Nie znasz Alonsa Galvana? - zdziwił się Federico.

- Nie.

- Był na twoim przyjęciu - przypomniał Federico. - Niedawno do niego dzwoniłaś. To jest właśnie Alonso Galvan.

- Nazywa się Huntsman, nie Galvan.

- To nie jest prawdziwe nazwisko, tylko pseudonim.

Sophie zrobiło się słabo. Doskonale wiedziała, że to kłamstwo. Lon naprawdę nazywał się Huntsman. Od dziecka nosił to nazwisko.

- Czego ode mnie chcesz? - spytała zrezygnowana i coraz bardziej przerażona.

- Niczego. - Federico schował jej telefon do swojej kieszeni.

- Nie rozumiem. - Wpatrywała się w niego całym zdezorientowana.

Skoro nic od niej nie chcieli, to po co ją porywali, po co ją uwięzili w samym środku dżungli?

- Wy tłumaczę ci. - Federico uśmiechnął krzywo. - Ty się nie liczysz, lady Wilkins. Jesteś nikim. Właściwie już cię nie ma. Nam chodzi o Galvana, czy może Huntsmana, wszystko jedno, jak go nazywasz. Ja i on mamy kilka niezłatwionych... spraw. Nie mówił ci przypadkiem, kiedy nas odwiedzi?

Nareszcie zrozumiała. Rozpłakała się.

- No, gadaj. - Federico złapał ją za włosy, pociągnął. - Kiedy po ciebie przyjdzie?

- Jutro wieczorem - wyjąkała.

- Dlaczego dopiero jutro?

- Nie wiem - szlochała. - Powiedział, że nie wcześniej niż za dwadzieścia cztery godziny. Podobno potrzebuje czasu, żeby tu dojechać.

- Dziękuję, lady Wilkins - zakpił Federico, ale przynajmniej puścił jej włosy. - Bardzo nam pomogłaś, moja droga.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, a jego eskorta za nim.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nogi się pod nią ugięły, osunęła się na podłogę.

A więc Lon się nie mylił! On i Federico kiedyś już się spotkali. Federico znał Lona. Chciał go zabić! Użył mnie jako przynęty!

Federico powiedział, że pracował z Clive'em, ale co to miało wspólnego z Lonem? Skąd Federico go zna i czemu chce go dopaść? To wszystko nie ma sensu! Chyba że Clive i Lon robili razem jakieś interesy, może nie całkiem legalne. Dlatego nie chcieli, żebym o tym wiedziała.

Boże, w co oni się wplątali? Czemu Lon wciąż trzyma to w tajemnicy? I jak on się w końcu nazywa? Huntsman? A może jednak Galvan?

Od tego wszystkiego kręciło jej się w głowie. Od rana nic nie miała w ustach. Była głodna, zmęczona, przerażona i zupełnie nie z tego wszystkiego nie rozumiała.

Będzie dobrze, pomyślała. Lon jest mądry. Nie wplątałby się w żadną kabałę.

Zasnęła.

- Sophie...

To był tylko cichutki szept, ale ona natychmiast się ocknęła. Jakiś mężczyzna przykucnął obok niej. Chciała krzyknąć, ale zakrył jej usta dłonią.

- Nie bój się, kochanie, to ja.
- Lon? - wymamrotała przez zakryte usta.
- Tak, Sophie, ale musisz być cicho.

Chwyciła go za rękę. To nie był sen.

- Już jesteś! - Objęła go za szyję, przytuliła się do niego. Nigdy w życiu nie było jej tak dobrze. Ale zaraz coś sobie przypomniała. - To jest pułapka, Lon. Im chodzi o ciebie. Mnie użyli jako przynęty.

- Wiem. - Pomógł jej wstać. - Dlatego musimy stąd natychmiast zniknąć. Włóż to - podał jej jakieś ubranie - i zrób to szybko.

Spodnie były na nią o wiele za duże, koszulka też, za to buty pasowały jak ulał.

- Gotowe - zameldowała, zawiązawszy sznurowadła.

- Zapleć warkocz. - Lon podał jej gumkę do włosów. - I schowaj włosy pod czapkę.

Bez szemrania zrobiła, co kazał.

- Jak ci się udało dotrzeć tutaj tak szybko? - spytała.

- Powiedzmy, że miałem silną motywację - odparł, podając jej kamizelkę. - Załóż to.

Kamizelka była ciężka, bardzo sztywna. Kulo-odporna!

- Ty też masz taką? - zapytała.
- Mam.
- Ty wiesz, że oni mają broń?

- Wiem.
- Więc jak my się stąd wydostaniemy?
- Wyjdziemy.
- Tak po prostu? Lon, oni mają prawdziwą broń!
- Ja też. - Poklepał coś, co mu zwisało z ramienia.
- Poza tym na zewnątrz są moi ludzie. Też mają kamizelki, są uzbrojeni i wiedzą, co mają robić. Wyciągną cię stąd.

- To ty ze mną nie pójdziesz? - przeraziła się.
- Pójdę - zapewnił - ale na samym końcu. Gdyby coś poszło nie tak, moi ludzie zabiorą cię w bezpieczne miejsce.

Gdyby coś poszło nie tak, powtórzyła w myślach Sophie. Boże! On chce powiedzieć, że gdyby jego zabili, ci ludzie się mną zaopiekują!

To ja go w to wciągnęłam, ja naraziłam Lona na niebezpieczeństwo, pomyślała. Nie daruję sobie, jeśli jemu stanie się coś złego.

- Niech wszystko pójdzie dobrze - szepnęła. Sta-
nęła na palcach, przytuliła policzek do jego policzka.
- Obiecay, że ze mną pójdziesz i że nic złego ci się
nie stanie.

- Nie po to tak długo czekałem, żeby cię teraz stracić, kochanie - powiedział Lon i pocałował ją w usta. - Do zobaczenia wkrótce, *munieca*. No, idź.

Otworzył drzwi, lekko klepnął ją w pupę.

Sophie wyszła w ciemność. Tuż obok wejścia przykucnęły dwa cienie. Na jej widok podniosły się. Ludzie Lona wzięli ją między siebie, poprowadzili w ciemność. Lon szedł za nimi.

Cisza była tak gęsta, że można by ją kroić nożem. Sophie bała się tej ciszy. Było zbyt cicho. Na pewno ktoś czuwał...

Nagle rozległ się terkot karabinu.

- Zabierzcie ją! - usłyszała komendę Lona. - Już!

Jak spod ziemi wyrósł przed nią trzeci żołnierz. Była nimi teraz ciasno otoczona. Mężczyźni biegli, a Sophie razem z nimi. Nie miała pojęcia, jakim cudem oni tak dobrze widzą w ciemności.

Usłyszała za plecami strzał, a zaraz potem głośne przekleństwo Lona. Nikt nie zwolnił kroku.

Lon dołączył do nich, kiedy dopadli zarośli. Zarzucił sobie Sophie na ramię, a pozostali mężczyźni się rozbiegli. Jeden został z tyłu, żeby ich osłaniać.

Lon biegł, a jego twarde ramię wrzynało się w brzuch Sophie. To wcale nie było przyjemne, lecz nie protestowała.

Wkrótce ciemność zrobiła się mniej gęsta, świtało. Dopiero teraz Sophie zauważyła, że człowiek, który ich osłaniał, gdzieś zniknął. Czy go raniono? A może zabito?

- Lon - zawołała - nie ma twojego człowieka!

- To dobrze - odparł. - Powinien zabrać dzipa.

- Nie pojedziemy dżipem?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo to jest niebezpieczne.

- Bzdura - prychnęła i zaraz poczuła na pupie lekkiego klapsa.

- Za co to? - obruszyła się szczerze zdumiona.

- Za wymądrzanie się. I za niewykonywanie poleceń.

Nareszcie się zatrzymał, postawił Sophie na ziemi, pomógł jej zdjąć kuloodporną kamizelkę. Potem zdjął swoją kamizelkę i gogle, schował to wszystko do plecaka. Dopiero teraz zrozumiała, jakim cudem Lon i jego ludzie tak dobrze widzieli w ciemności. Oni mieli noktowizory, a ona nie.

- I za to, że wyjechałaś beze mnie z Londynu - dodał, zakładając plecak z powrotem na ramiona.

- Niektóre sprawy muszę załatwić sama. Chciałam się dowiedzieć... - urwała, bo zauważyła na koszuli Lona wielką brunatną plamę. - Ty jesteś ranny, Lon! Masz całą rękę zakrwawioną.

- Nic mi nie będzie - burknął. - Rusz się, kochanie. Nie chcesz chyba, by twój ukochany Federico nas teraz dopadł.

Poszedł przodem, nie oglądając się za siebie.

Im bardziej zagłębiali się w tropikalny las, tym głośniejszy stawał się szum wodospadu. Sophie nie umiała tego pojąć. Czemu szli w stronę wodospadu? Należało iść w przeciwnym kierunku, uciekać stąd jak najdalej. Przy wodospadzie nie było żadnej drogi, nie można się było stamtąd nigdzie wydostać.

Krzyknęła przerażona, gdy tuż koło niej przeleciał wielki tukan.

- Co jest? - Lon natychmiast się odwrócił.

- Ptak - wyjąkała, ocierając pot z czoła. - Ogromne czarne ptaszysko z wielkim dziobem.

- Nigdy więcej mi tego nie rób! - Lon spiorunował ją spojrzeniem. - Nie wszczynaj alarmu bez powodu. Co innego gdyby ten ptak miał broń gotową do strzału.

Odwrócił się do niej plecami i szybkim krokiem ruszył przed siebie. Sophie zauważyła, że jego ręka przestała się swobodnie poruszać, że Lon coraz mocniej przyciska ją do tułowia.

- Lon?

- Nie mam ochoty na rozmowy - burknął.

- Ale twoja ręka...

- Nie mów więcej o mojej ręce, dobrze? Najlepiej nawet nie myśl.

- Dobrze - szepnęła wpatrzona w zakrwawiony rękaw jego koszuli.

Mniej więcej przez godzinę wspinali się pod górę. Huk wodospadu nasilał się z każdą chwilą. Po pewnym czasie upał stał się mniej intensywny, powietrze lżejsze, zrobiło się znacznie chłodniej.

- Tutaj się zatrzymamy - oznajmił Lon, kładąc na ziemi ciężki plecak.

- Na długo? - spytała Sophie. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie wydostaną się z lasu. Marzył jej się prysznic, wygodne łóżko...

- Póki nie zjemy śniadania. - Lon przykucnął obok plecaka, wyjął z niego dwie szczelnie zamknięte paczuszki.

Sophie obejrzała dokładnie paczuszkę, którą jej wręczył. To była żywność dla alpinistów, odwodnione, popakowane w jednorazowe porcje produkty.

Każdy zestaw składał się z batonu proteinowego, torebki suszonych owoców i napoju energetycznego.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Sophie.
- Będziemy jeść.
- Nie w tej chwili - fuknęła zirytowana, że jemu się zebrało na żarty. - Potem. Jak się stąd wydostaniemy?
- Przez jakiś czas zostaniemy tutaj.
- Tutaj? Tak blisko tych bandytów?
- To najlepsza taktyka. Oni myślą, że uciekliśmy. Będą nas szukać w miastach, w hotelach, na posterunkach policji. Wszędzie, tylko nie na swoim własnym podwórku.

- Nie obraż się, Lon, ale ja bym woląa oddać się pod ochronę policji albo chociaż naszej ambasady.

- Tu nie ma ambasady, Sophie. Jesteśmy w samym środku tropikalnego lasu! Przy tym wodospadzie spotykają się granice Brazylii, Argentyny, Urugwaju i Paragwaju. Cztery państwa, każde ma swoją policję i własną politykę. Może się zdarzyć, że nasz drogi Federico pracuje dla któregoś rządu. Dlatego nie będziemy prosić o pomoc policji.

- A rząd angielski? Dlaczego nie możemy się zgłosić do naszej ambasady? Mam nadzieję, że nie masz żadnych problemów z prawem.

Alonso nie odpowiedział. Patrzył na nią takim wzrokiem, że miała ochotę zapaść się pod ziemię. Sophie nie miała pojęcia, co w niego wstąpiło.

- Lon, ty nie masz kłopotów z prawem, prawda?
- Ja nie - burknął Lon - ale ty możesz mieć.
- Ja? Dlaczego ja?

- Alvaro.

Przypomniała sobie, co jej mówił o Federicu. Wtedy, na przyjęciu nie uwierzyła Lonowi, sądziła, że chce skompromitować rywala, bo jest o nią zwyczajnie zazdrosny. Dopiero teraz dotarło do niej, że pokazywała się publicznie z człowiekiem, któremu władze jej kraju co najmniej nie ufały. Z własnej nieprzymuszonej woli oddała się temu człowiekowi pod opiekę. Wyleciała razem z nim z Anglii, zameldowała się w tym samym hotelu co on... Rzeczywiście, nie wyglądało to najlepiej.

- Jak bardzo poufałe stosunki was łączyły? - zapytał Lon spokojnie, choć w środku gotował się ze złości.

- Nie było żadnej poufałości.

- A jednak pojechałaś z nim do Brazylii - wytknął jej Alonso.

- Ale jemu chodziło o ciebie! - wybuchnęła Sophie. - Owszem, wykorzystał mnie, użył jako przynęty, ale to na tobie mu zależało, nie na mnie.

- Ostrzegałem, żebyś się trzymała od niego z daleka.

- Mówiłeś, że ma coś wspólnego z przemytem narkotyków - przypomniała sobie Sophie. - Czy... czy ty i Clive też zajmowaliście się narkotykami?

- Nie - odparł bez namysłu Lon.

Nie spuszczał oczu z Sophie. Nie miał pojęcia, ile ona wie. A jeśli wiedziała więcej niż to, do czego się przyznaje? Jeżeli jest bardziej zaangażowana, niż przypuszczał? Jeśli to wszystko jest tylko kontynuacją pułapki?

- Po coś ty tu w ogóle przyjechała? - Lon musiał o to zapytać.

Niestety, nie udało mu się uniknąć ostrego tonu. Potwornie się bał. Bał się, że ona już jest ugotowana, że być może Sophie od dawna jest zamieszana w świat brudnych interesów Valdeza. Nie, to niemożliwe! Nie mogła pójść tą samą drogą, którą wybrał Clive.

- Mam nadzieję, że nie jesteś jedną z nich? - drażzył Alonso.

Zresztą nawet gdyby była, to i tak by jej tu nie zostawił.

- Z jakich „nich”? - zdumiała się Sophie.

- Czy jesteś w zмовie z bandytami Valdeza?

- Alonso postawił sprawę na ostrzu noża.

Sophie się roześmiała. Głośno, swobodnie. Dopiero po chwili zauważyła, że Lon się nie śmieje, że patrzy na nią dziwnie, jakby ją o coś podejrzewał.

- Ja ciebie nie wrobiłam - nareszcie zrozumiała, o co Lonowi chodzi. - Nigdy bym ci czegoś takiego nie zrobiła. - Ale zaraz przypomniała sobie, jak łatwo ją omotał Federico, jakim skutecznym narzędziem w jego rękach stała się mimo woli: - W każdym razie nie świadomie - dodała prędko.

Lon westchnął, usiadł na ziemi w przyzwoitej odległości od Sophie i sięgnął po swoją porcję jedzenia. Syknał. Na brunatnym od zakrzepłej krwi rękawie pojawiły się czerwone krople.

- Krew...

- Na pewno od tego nie umrę - mruknał i zabrał się do jedzenia.

- To nie było śmieszne - naburmuszyła się.
- Nie miało być.

Sophie wstała, wytarła dłonie o spodnie.

- Obejrzę tę twoją ranę - oświadczyła stanowczo.
- Odważysz się mnie dotknąć? - zażartował Lon.
- Daj spokój - poprosiła. Ukłękła przy nim, podwinęła skrwawiony rękaw. - Strasznie dużo krwi.
- Nigdy nie mogłaś znieść widoku krwi. - W jego głosie była kpina, taka męska kpina, która sprawiła, że Sophie poczuła się bardzo delikatna i okropnie głupia.
- Daj spokój - powtórzyła. Starła się zachować obojętność, ale nie bardzo jej się to udało. Może dlatego, że tak się jej przyglądał? A może dlatego, że był bardzo blisko, taki ogromny, potężny... - Zdejmij koszulę.

- Uważaj, kochanie. Zaczynasz mnie podniecać.
- Ty nigdy się nie zmienisz - westchnęła zrezygnowana.
- Wcale nie chcesz, żebym się zmieniał -przekomarzał się z nią.

- Zdejmuj koszulę - poleciła. Nie zamierzała się wdawać w dyskusję z Lonem. - Straciłeś dużo krwi.
- Skąd wiesz?
- Nawet ja mam trochę zdrowego rozsądku. - Sophie się skrzywiła. - Wprawdzie nie używam go zbyt często, ale to jeszcze nie znaczy, że nie istnieje.

Lon rozpiął koszulę, oczom Sophie ukazał się jego muskularny tors. Zakrzepła krew przykleiła rękaw do ramienia.

Sophie z trudem opanowała mdłości, ale udało jej

się odkleić rękaw. Niemal natychmiast z rany popłynęła świeża krew.

- Jak się powstrzymuje krwotok? - spytała niby spokojnie, choć wewnątrz drżała jak liść na wietrze. Panicznie się bała. Tym razem o Lona.

- Załóż mi opatrunek uciskowy - powiedział Lon. - W plecaku jest podręczna apteczka. Złóż razem trzy gaziki...

- Najpierw zdezynfekuję ranę. - Sophie wyjęła apteczkę.

Ręce jej się trzęsły, gdy delikatnie czyściła ranę. Musiało go bardzo boleć. Lecz Alonso nawet nie syknął podczas tej operacji.

- Teraz przyłóż gaziki do rany - poinstruował. - Musisz je mocno docisnąć. Jeśli uda się zatrzymać krwawienie na pół godziny, to szybko się zagoi.

- A jeśli się nie uda?

- Nie martw się - pocieszył ją Lon. - Nie wezmą diabli złego.

Sophie nie była tego taka pewna. Nigdy w życiu nie widziała tak dużo krwi.

To wszystko moja wina, pomyślała. To przeze mnie jest ranny. A przecież ostrzegał mnie przed Federikiem.

- Przepraszam - szepnęła, gdy już opatrzyła i obandażowała ranę. - Przepraszam, że ci nie powiedziałam, czemu się spotykam z Federikiem. Przepraszam, że cię wywiodłam w pole, wyjeżdżając zaraz po przyjęciu. Przepraszam, że cię wpakowałam w tę kabałę.

Lon milczał, nawet na nią nie spojrzał.

- Dlaczego Federico nazywa cię Galvan? - zapytała niepewnie.

- To stare argentyńskie nazwisko rodowe. - Lon najwyraźniej nie chciał niczego wyjaśniać.

- Skąd Federico cię zna? - wypytywała Sophie.

- Przyjaźniłem się z Clive'em.

- Ale skąd oni znają Clive'a?

- Robił... interesy w Ameryce Południowej.

- Na polecenie banku?

- Na własną rękę.

Sophie pojechała do Brazylii, bo chciała się czegoś dowiedzieć o tych interesach. Teraz się okazało, że nie musiała się wcale ruszać z Londynu, bo Lon doskonale wiedział, w co się wplątał Clive. Wiedział, tylko nie chciał jej powiedzieć.

- Jedz - polecił Lon, nim zdążyła zadać kolejne pytanie. - I wypij cały napój. Musisz mieć dużo siły.

Sophie w lot zrozumiała. Bez zbędnych słów dał jej do zrozumienia, że nie będzie odpowiadał na pytania, że nie zamierza się z nią podzielić swoją wiedzą na temat działalności Clive'a. Nie chciała się z tym pogodzić.

- Ja muszę wiedzieć, Lon - nalegała Sophie.
- Clive był moim mężem.

- I moim przyjacielem - przypomniał jej. - Nic ci nie powiem, póki się stąd nie wydostaniemy. Nie mam siły zajmować się sprawami sprzed dwóch lat, kiedy grunt się nam pali pod nogami.

- Dobrze - zgodziła się. - To rzeczywiście nie

jest najlepsza pora na rozmowy, ale jak wrócimy do cywilizacji, będziesz mi musiał powiedzieć całą prawdę.

Lon się nie odezwał, tylko na nią popatrzył. Długo i przenikliwie.

- Jedz - powiedział wreszcie.

Sophie usiadła i zabrała się do jedzenia. Już nie zadawała pytań, ale nie mogła przestać myśleć o zmarłym mężu, o interesach, jakie robił w Brazylii, i o tym, że Lon o wszystkim wiedział.

- Ja cię zupełnie nie znam - westchnęła. - Nie wiem, czemu Federico chciał cię złapać. Nie wiem, jakim cudem tak prędko mnie znalazłeś...

- Umówiliśmy się, że nie będziemy o tym teraz rozmawiać - przypomniał jej.

- Ja tylko chciałabym wiedzieć, jak ci się udało tak prędko mnie odnaleźć - skłamała Sophie.

Tak naprawdę chciała wiedzieć wszystko, zrozumieć, jakim cudem Alonso Huntsman, właściciel kopalni szmaragdów, zmienił się w komandosa, który tuż przed świtem zjawia się w kwaterze bandytów...

- Istnieją urządzenia namierzające - wyjaśnił niechętnie - a ja mam przyjaciół.

Sophie widziała tych przyjaciół. Żaden z nich nie powiedział słowa podczas akcji, a jednak działali sprawnie i skutecznie. Na pewno nie pierwszy raz odbili bandytom zakładnika.

- Czy Clive był jednym z tych twoich przyjaciół? - zapytała Sophie z nadzieją, że jednak nie wszystko stracone.

- Nie.

- Ale... To, co robicie z przyjaciółmi, to nie jest tylko hobby, prawda?

- To jest hobby, Sophie - odparł Lon prawie bez namysłu. - Niektórzy grają w kręgle, inni w tenisa, a ja lubię się ubierać w wojskowe ciuchy i biegać po lesie z karabinem maszynowym.

- Naprawdę masz karabin?

- Daj spokój, *munieca*. Chyba nie myślisz poważnie, że lubię tę zabawę? Gdybym mógł robić to, co naprawdę lubię, leżałbym teraz na plaży w Rio i popijał zimnego drinka, a nie tułał się po dżungli. Na prawdę nie przepadam za wędrowaniem po świecie i życiem na walizkach. Mam trzydzieści dwa lata. Chciałbym się wreszcie ustatkować, mieć dzieci i w niedzielę zabierać je do zoo jak inni ojcowie. Niestety, ty nie widzisz we mnie normalnego mężczyzny. Dla ciebie jestem maszyną, która działa za naciśnięciem guzika...

- Nigdy nie uważałam cię za maszynę - wpadła mu w słowo. - Maszyny są zimne i przewidywalne, a w tobie buzują emocje. Są tak silne, że mnie przerażają.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- A więc zauważyłaś - mruknął Alonso.
- Owszem, zauważyłam. Wiem, że trochę to dla ciebie stanowczo za mało. Ty musisz mieć wszystko. Nie wszystko albo nic, ale właśnie tak: wszystko.
- I co w tym złego? - Wzruszył ramionami.
- Nic prócz tego, że to niemożliwe. Nigdy nie dostaje się od życia wszystkiego. Można dostać trochę...
- Bzdura - wpadł jej w słowo Lon. - Można dostać wszystko, tylko trzeba chcieć. Ty tego nie potrafisz. Boisz się, że jak zechcesz więcej, to nic nie dostaniesz i będziesz rozczarowana. Dlatego sama się ograniczasz. Krzywdzisz się sama, zanim życie skrzywdzi ciebie. Dlatego wybrałaś Clive'a. Wiedziałaś, że z nim nie będzie niespodzianek i nie było.
- Ależ ty jesteś zarozumiała! - obruszyła się.
- Być może. Za to ty jesteś tchórzem. Tak się mnie przestraszyłaś, że zrobiłaś swój ulubiony manewr: schowałaś głowę w piasek jak struś. A potem przez dziesięć lat żyłaś z tą piękną główką w piasku, zastanawiając się, czemu jesteś samotna i nieszczęśliwa.

- Nie jestem nieszczęśliwa! - zaprotestowała.

Lon się roześmiał, a Sophie się wściekła. Podniosła z ziemi kij i wystawiła go przed siebie jak szpadę.

- Przestań się śmiać albo...

- Co „albo”, mój ty tchórzliwy strusiu?

Nazwał ją tchórzliwym strusiem! Zamierzała dźgnąć Lona kijem pod żebra, lecz on skoczył, złapał kij i przygniótł nim Sophie do ziemi.

- Pierwsza lekcja przetrwania, Johnson...

- Wilkins - poprawiła go Sophie.

- Nie należy przeceniać swoich sił.

- Zabierz ten kij - wysapała upokorzona.

- Życie zostawiło cię z tyłu, Johnson - ciągnął Lon. - Gdyby było inaczej, nie przyjeżdżałabyś do Brazylii dwa lata po śmierci męża. Nie musiałabyś się zastanawiać, co się takiego stało, że go tu zabili.

- To dlatego, że mi na nim zależy...

- Możliwe - zgodził się. - Owszem, lubiłaś Clive'a, ale nigdy go nie kochałaś. Wyszłaś za niego za męża, żeby nadal móc udawać strusia, żeby się nie narazić na prawdziwe życie ze mną.

Alonso się wyprostował, odrzucił kij.

- Idziemy - powiedział, zakładając na ramiona plecak.

Sophie powoli podniosła się z ziemi. Pomaszerowała za Lonem, wyciągając z włosów gałązki, zeschłe liście i jedną gaśienicę.

Nie mogła zapomnieć Lonowi, że nazwał ją

tchórzliwym strusiem. Postanowiła mu udowodnić, że wcale nie jest tchórzem. Na razie nie wiedziała, jak to zrobić, ale była pewna, że w końcu coś wymyśli.

Schodzili ze zbocza powoli, lecz nienawykła do przedzierania się przez gęste zarośla Sophie potknęła się i przewróciła.

Alonso zawrócił, pomógł jej się podnieść.

- Znów próbowałaś schować głowę w piasek, kochanie? - drwił z niej niemiłosiernie.

Sophie otrzepała się z liści, popatrzyła na niego nienawistnie.

- Nie ma takiej możliwości - powiedział rozbawiony.

- Jakiej? - zdziwiła się.

- Chciałaś, żeby stało mi się coś strasznego - wyjaśnił i wydłubał z jej włosów suchy listek. - Nie musisz rzucać na mnie uroków, bo już dawno mnie zauroczyłaś.

- To znaczy, że padniesz trupem później, jak mnie przy tym nie będzie? Koniecznie chcesz mnie pozbawić okazji do świętowania?

- Nie zamierzam umierać, kochanie - oświadczył, patrząc jej prosto w oczy.

- A ja już miałam nadzieję, że dostanę po tobie spadek.

- Z tym akurat nie ma problemu - Lon się do niej uśmiechnął. - Wyjdź za mnie, a kiedyś w końcu dostaniesz ten spadek.

- Ja miałabym wyjść za ciebie za męża? - Sophie

patrzyła na niego z niedowierzaniem. - Nigdy! Z dwojga złego już wolę zostać w dżungli.

- A wiesz, że to niezły pomysł - ucieszył się Lon.

- Naprawdę całkiem niezły - powtórzył i ruszył przed siebie.

Sophie podreptała za nim. Szedł tak szybko, że z trudem go dogoniła.

- Wcale mnie nie przestraszyłeś, Alonso - wydygotała, kiedy wreszcie się z nim zrównała. - Nie zostawiłbyś mnie tutaj samej, choćbyś był nie wiem jaki zły. Jesteś twardy, ale nie okrutny.

- A czy ja powiedziałem, że cię zostawię samą?

- zdziwił się Lon. - Oczywiście, że bym z tobą został. Ty i ja razem w dżungli. Moglibyśmy się bawić w Tarzana i Jane.

- Ha ha!

- Teraz już wiem na pewno, że się pobierzemy.

- Nie pobierzemy się - zawołała. To wcale nie było śmieszne.

- Cieszę się, że podoba ci się w dżungli - powiedział, ruszając w dalszą drogę.

Późnym popołudniem dotarli do rzeki. Lon natychmiast zabrał się do roboty. Zebrał gałęzie, ociosał je, przyciął. Miał przy tym taką minę, jakby kładł fundament pod ich pierwszy wspólny dom.

Wciąż podenerwowana Sophie patrzyła, jak czyści gruby konar, a potem mocuje go pomiędzy dwoma drzewami. Dopiero po chwili zrozumiała, że Alonso buduje szałas.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytała.
- Owszem. Chyba że wolisz zostać czyimś obiadem.

Kilka gałęzi jednakowej długości oparł o poziomy konar, przeplótł to wszystko pnączem i tak zrobioną matę okrył zeschniętymi palmowymi liśćmi.

Wkrótce dach nad głową był gotów. Lon wyjął z plecaka hamak, powiesił go między drzewami, pod osłoną szałas.

- Jak długo tu zostaniemy? - spytała Sophie.
- Kilka dni.
- A co potem?
- Mam nadzieję, że przypłynie łódź.
- A jeśli nie przypłynie?
- Zostaniemy tu dłużej.
- A kto po nas przypłynie? - wypytywała.
- Przyjaciele.
- Ci sami, którzy przeprowadzili dzisiejszą akcję?
- Ci sami.

Lon przykucnął nad wodą, opłukał dłonie. Kiedy uniósł głowę, Sophie stała nad nim i wpatrywała się w horyzont.

Ślicznie wygląda w tych wojskowych ciuchach, pomyślał. Zawsze była z niej prawdziwa dama, ale i w tym stroju jest jej do twarzy. Boże, ależ jej pragnę! Nie umiem sobie wyobrazić życia bez niej.

Od zawsze wiedział, że on i Sophie są sobie przeznaczeni. Niestety, ona bała się życia, bała się silnych emocji, które mogłyby jej złamać serce.

Ja bym jej nigdy nie zawiódł, pomyślał.

- To chyba najpiękniejsze miejsce na całym świecie - westchnęła tęsknie, ale zaraz zbudziła się z rozmarzenia i spytała rzeczowo: - Czy Clive był kiedyś w Iguasu?

- Raczej nie. - Lon pokręcił głową.

- Na pewno by mu się tu podobało.

Tym razem się nie odezwał. Przyglądał się Sophie i milczał.

- Nie byliśmy dobrym małżeństwem - zaczęła po długiej chwili milczenia. - Clive na pewno ci opowiadał...

- O niczym mi nie mówił - zaprzeczył prędko Lon.

- Rozumiem. - Sophie przygryzła wargę, nad czymś się zastanawiała. - Nie pasowaliśmy do siebie. Myślę, że wszystko jakoś się układało, póki z nami byłeś. Kiedy się pobraliśmy, to okazało się, że ja i Clive nie potrafimy nawet normalnie ze sobą rozmawiać. Miałam wrażenie, że jest bardzo nieszczęśliwy, jakiś taki zagubiony...

Lon milczał. Sophie czuła, jakby ją przygniatał ogromny ciężar.

- Nie powinnam była wychodzić za mąż za Clive'a - mówiła Sophie. - Zaraz po tym, jak przyjąłem jego oświadczenia, pożałowałam swojej decyzji. Powinnam była zerwać zaręczyny. Nie umiałam. Uwielbiałam ojca Clive'a. Nie chciałam mu robić przykrości.

- Przede wszystkim nie chciałaś być wolna. Gdybyś nie wyszła za mąż, musiałabyś mieć do czynienia ze mną.

- Nie wiedziałam, na czym polega małżeństwo

- przyznała. - Nie wyobrażałam sobie, że moje życie może się aż tak bardzo zmienić.

Popatrzyła na Lona. Miała ochotę wsunąć palce w jego gęste włosy, więc zacisnęła pięści, by przypadkiem nie ulec pokusie.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za to, że przyjechałeś na pogrzeb - odezwała się po chwili. - Nie wiem, jak bym sobie poradziła bez ciebie.

- Nie mogłem nie przyjechać na pogrzeb przyjaciela.

- Wiem - westchnęła Sophie. - Przyleciałeś wtedy z Santiago czy z Buenos Aires, a ja nawet z tobą nie porozmawiałam.

- Nie rozmawialiśmy po mszy?

- Nie pamiętasz? - zdziwiła się.

- To był bardzo ciężki dzień.

To prawda. W nabożeństwie brały udział setki ludzi, roiło się od dziennikarzy i fotoreporterów. Sophie pamiętała łkanie hrabiny i bladą twarz Alonsa. Wyglądał, jakby był bardzo chory...

- On nie chciał umierać - mówiła Sophie jakby do siebie. - Był młody, miał wielkie plany.

- Te plany znaczyły dla niego więcej niż ty.

- Clive mnie kochał - upierała się Sophie - ale miał tyle do zrobienia. Postawił sobie za cel...

- Czy ty naprawdę wierzysz w te bzdury, które mi opowiadasz? - Lon stanął przed nią, położył dłonie na ramionach Sophie. - Naprawdę uważasz, że te jego podróże po całym świecie były ważniejsze niż czas, który moglibyście spędzić razem?

Sophie milczała zgnębiona. Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie.

- Powiem ci, co o tym myślę. Ja nie zamieniłbym cię na nic na świecie. Cieszyłbym się każdą chwilą spędzoną w twoim towarzystwie. Znałbym każde twoje marzenie, dbałbym o twoje potrzeby i chuchał na twoje uczucia. Ja bym sprawił, żebyś się czuła kochana i żebyś była szczęśliwa.

- Skąd możesz wiedzieć... - zaczęła, ale nie dokończyła, bo łzy popłynęły jej z oczu.

- Wiem - oznajmił z mocą. - Wiem o tym, odkąd się poznaliśmy. Ty zawsze byłaś piękna i taka strasznie mądra. Zwiedziłaś cały świat, byłaś oczkiem w głowie swojego taty i towarzyszką wszystkich jego podróży. Za każdym razem, kiedy zmieniał miejsce pracy, zabierał cię ze sobą i umieszczał w nowej szkole, a ty wszędzie świetnie sobie radziłaś. Trzeba mieć charakter, żeby sprostać tym wszystkim wyzwaniom.

- Nie cierpiałam tych ciągłych przeprowadzek.
- Sophie pociągnęła nosem, żeby już więcej nie płakać.

- A mimo to wciąż podróżowałaś z ojcem. Dzięki tobie miał lepsze życie. I życie Clive'a też było lepsze dzięki tobie. Za to ty musiałaś się o siebie zatroszczyć sama. Wynajdowałaś sobie różne zajęcia, starałaś się zachować pogodę ducha i byłaś taka słodka... Nie mogłem tego znieść wtedy i nie mogę znieść dzisiaj. Nigdy nie żądałaś niczego dla siebie, choć jesteś warta więcej, niż oni ci dawali. - Przyciągnął ją do siebie, popatrzył prosto w zapłakane oczy Sophie.

- Jeśli się nie upomnisz, niczego nie dostaniesz, *munieca*.

- Moja mama się upominała i co z tego wyszło? Zostawiła tatę, nawet mnie zostawiła...

- Ty jesteś całkiem inna.

Podniosła głowę, popatrzyła w oczy Lona. Były pełne żaru i uczucia. Nigdy w niczyich oczach nie widziała go aż tyle.

- Skąd wiesz?

- Ja ciebie znam.

Alonso się uśmiechnął i serce Sophie zabiło gwałtownie. Już zdążyła zapomnieć, jaki oszałamiający uśmiech ma ten człowiek, jaki piękny potrafi być Lon, kiedy tego chce.

- Boję się ciebie. - Sophie spuściła oczy.

- Jak możesz się mnie bać, skoro jestem twoim najlepszym przyjacielem?

Przypomniała sobie tamte czasy, w Bogocie i zrobiło jej się ciepło koło serca. Kiedy przyjęto ją do Elmhurst, miała trzynaście lat i powyżej uszu bezustannego bycia nową uczennicą. Minał cały rok, a ona wciąż była nowa, wciąż obca, wiecznie sama. To wszystko się zmieniło, gdy pewnego dnia na szkolnym balu poznała Clive'a i Alonsa. Langley Prep, do której obaj chodzili, była najbardziej elitarną szkołą męską w Bogocie.

- Mieliśmy się razem zestarzeć jako przyjaciele - powiedziała ze smutkiem.

Odwróciła się do Lona plecami. Nie chciała, żeby widział, że ona znowu płacze. Całkiem się rozkleiła.

- Jesteś zmęczona - usłyszała głos Lona. - Powinnaś coś zjeść i trochę pospać. - Podszedł do drzewa, na którym zawiesił plecak, wyjął z niego paczuszki z jedzeniem. - Usiądź na hamaku, zjedz, a potem odpocznij. Ja będę trzymał wartę.

Była zbyt zmęczona, żeby protestować. Zjadła swoją porcję pożywnego prowiantu, a potem wyciągnęła się na hamaku.

Miło było mieć przy sobie Lona. Był wielki i silny. Fizycznie, psychicznie i emocjonalnie. Superman, pomyślała czule.

Zasnęła, a Lon się jej przyglądał. Patrzył na Sophie i myślał o Clivie.

Nie miał pojęcia, co zrobić. Sophie koniecznie chciała dowiedzieć się prawdy o swoim mężu, a Lon nie tylko znał wszystkie fakty, ale także miał na nie dowody. Mógłby opowiedzieć Sophie historię zsuwania się Clive'a po równi pochyłej: decyzje finansowe, które go zrujnowały, potrzeby finansowe, które go pogrzebały, i układ z Valdezem, który go w końcu zabił. Alonso strasznie się bał, że Sophie by tego nie zniosła. Kochała Clive'a. Kochała go takim, jaki był kiedyś. Lon lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, jak boli strata kogoś, kto jest niemal częścią ciebie samego.

Westchnął, przeczesał palcami włosy. Jemu też brakowało Clive'a. Nigdy w życiu nie miał takiego przyjaciela jak on i wątpił, żeby jeszcze kiedyś znalazł podobnego.

Clive zachowywał się jak zwyczajny młody chłopak, a nie jak rozpuszczone hrabiowskie dziecko.

Nigdy nie chciał pracować w bankowości, jak nakazywała rodzinna tradycja. Mawiał, że to zajęcie dla nudziarzy. W końcu jednak podjął pracę w Bank of England i z początku nawet dobrze mu szło. Niestety, nie cierpiał rutyny, irytowały go regularne godziny pracy, brakowało ryzyka. Chciał być panem swojego losu, a przynajmniej pracować na własny rachunek.

Fatalnie zainwestował pieniądze i w konsekwencji wszystko stracił. Nie tylko to, co sam posiadał, lecz także Melrose Court, oszczędności matki, polisę ubezpieczeniową ojca... Clive mógł się pogodzić z tym, że oboje z Sophie będą klepali biedę, ale nie był w stanie powiedzieć matce, że stracił jej majątek.

Dlatego zawarł umowę z Valdezem. Clive, jako potomek wspaniałego rodu o nieposzlakowanej opinii, prowadził wszystkie konta instytucji rządowych. Wiedział, kiedy przekazywano pieniądze na specjalne konta w Ameryce Łacińskiej, wiedział też, kiedy, gdzie i kto będzie podejmował pieniądze z tych kont. Za trzy miliony funtów Clive sprzedał Valdezowi informacje o czasie i miejscu, w którym tajni agenci mieli pobrać pieniądze.

Clive dostał milion funtów za każdego z trzech agentów wywiadu MI6.

Jednym z nich był Lon.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Sophie obudziła się o świcie.

- Przespałam całą noc - stwierdziła trochę zdziwiona.

- I dobrze - mruknął Lon.

- Za to ty jesteś wykończony.

- Nic mi nie będzie. - Wzruszył ramionami.

Sophie przypomniała sobie, że nigdy się nie skarżył. Jej było ciężko w Elmshurst, ale jemu w Langley było, jeszcze gorzej. Koledzy wiedzieli, że jest nieślubnym dzieckiem, a pan McKenna to ojczym, nie prawdziwy tata. Dokuczali Lonowi, lecz on nigdy nikomu się nie poskarżył. Uciekał w sport albo w muzykę.

Nikt nie grał na perkusji tak jak on. Mógłby zostać zawodowcem, gdyby tylko chciał. Nie chciał. Skończył studia, a potem wstąpił do lotnictwa.

- Grywasz jeszcze czasami na perkusji? - spytała. - Nigdy nie zapomnę, jak grałeś dla mnie, kiedy odwiedziłam Langley.

- Czasami. - Lon nie był specjalnie rozmowny.

- Grałeś na wszystkim, co ci wpadło w ręce - wspominała Sophie. Clive strasznie się o to wściekał.

Sophie zsunęła się z hamaka, przykucnęła obok

Lona i podwinęła rękaw koszuli na jego postrzelonej ręce. Gaza była biała, rana nie krwawiła.

- W porządku - oznajmiła zadowolona. - Teraz ja przejmę wartość, a ty pójdziesz spać.

- Mam ci zaufać po tym, co zrobiłaś?

- Tym razem nie zrobię żadnego głupstwa - obiecała. - Zresztą, co mogłaby zrobić. Nie wiedziałyby nawet, dokąd pójść.

- Skoro tak... - Lon się uśmiechnął i ułożył na hamaku. - A może byś się do mnie przytuliła?

- Ty chyba oszalałeś! - obruszyła się.

- Mój ty tchórzliwy strusiu... - Alonso się roześmiał.

- To już na mnie nie działa. Uodporniłam się.

Usiadła na ziemi, opłotła rękami kolana i patrzyła na Lona. Był taki przystojny. I taki strasznie męski.

- Sophie?

- Miałeś spać - mruknęła.

- Nie jestem senny.

Patrzył na nią i czekał. Tym razem mógł czekać wiecznie. Tym razem nie było Clive'a. Nikt mu nie stał na drodze.

- Czego ty chcesz ode mnie? - Sophie nie wytrzymała tego wyczekującego spojrzenia.

Lon nadal milczał. I nadal na nią patrzył.

- Powiedz coś. - Lon wzbudzał w niej uczucia, jakich nie znała, jakich nie chciała poznać. - Lon...

Zsunął się z hamaka, przyklęknął obok niej, dotknął palcem jej ust.

- Ja znam prawdę - wyszeptał. - Ty zresztą też.

Prawdę? Jaka prawdę? Może tę, że dawno, dawno temu Lon rzucał piłkę dalej niż ktokolwiek inny, że najszybciej ze wszystkich rozwiązywał zadania z matematyki, że jak nikt na świecie umiał rozśmieszyć Sophie. Zmuszał ją do myślenia i do odczuwania, tak jak teraz...

Sophie drżała z pożądania. A przecież Lon właściwie nic nie zrobił, tylko dotknął palcem jej ust.

No właśnie, Lon zawsze sprawiał, że czuła więcej i mocniej. Nie był podobny do jej ojca, nie był podobny do Clive'a. Nie był podobny do żadnego znanego jej mężczyzny.

- Przestań - poprosiła.

Alonso się pochylił, musnął jej usta wargami.

- Co takiego strasznego się stanie, jeśli zrobię to, co chciałbym...? - szepnął.

Jemu nie wystarczy, że będzie się ze mną kochał, pomyślała. On będzie chciał mieć mnie całą. Sprawি, że stracę kontrolę, nawet nad sobą. Już nigdy potem nie będę taka sama. Już zawsze będę chciała więcej. Za dużo.

Zdała sobie sprawę, że właściwie nigdy dotąd nie żyła naprawdę, że tylko egzystowała. Lon jej pragnął i już samo to stanowiło ogromną odmianę w jej życiu.

Pocałował ją. Sophie poczuła się jak w niebie. Nikt nigdy jej tak nie całował. To nie był tylko pocałunek, żadne tam zwyczajne zetknięcie ust. To był oddech budzący do życia.

Alonso się odsunął, bez słowa wrócił na hamak. Sophie siedziała na ziemi jak porażona. Nie miała

siły się ruszyć, nie miała sił się odezwać, myśleć ani nawet oddychać.

- Wszystko w porządku? - zapytał, mimo wszystko trochę zaniepokojony.

- Śpij - zdołała powiedzieć. Tylko tyle, ale i tak wiele ją to kosztowało.

Sophie pełniła wartę przez resztę nocy. Monotonny szum wodospadu stanowił interesujące tło do rozmyślań.

Uświadomiła sobie, że życie, jakie dotąd wiodła, było właściwie pozbawione sensu. Pomimo solidnego wykształcenia i znajomości kilku języków siedziała w Melrose Court i nic nie robiła. Co najwyżej użalała się nad sobą.

Czy odważyć się żyć tak, jak bym chciała? - zastanawiała się. Trzeba by było wyjść z cienia hrabiny, rozpocząć własną karierę zawodową. Mogłabym wstąpić do służby dyplomatycznej, jak tata. Znam cztery języki, z czego trzy - niemiecki, hiszpański i francuski - całkiem nieźle. Pamiętam trochę rosyjski, chociaż w Moskwie byliśmy z tatą dawno, kiedy byłam małą.

Cóż to było za życie? Sophie nie cierpiała ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce, nowych szkół, nieustannego uczenia się nowego języka i przyzwyczajania się do coraz to innej kultury. Dopiero po latach mogła docenić, co zyskała dzięki podróżom z ojcem, ile się wówczas nauczyła. Tylko nieliczne amerykańskie dziewczyny miały okazję zobaczyć to,

co widziała Sophie, poznać to wszystko, co ona poznała. Dlaczego ta przygoda miałyby się już skończyć? Nie musi. Może trwać.

Sophie obserwowała wędrówkę słońca nad wiezchołkami drzew. Poczowała, jak budzi się w niej coś, co długo leżało uspione w najdalszym zakamarku duszy.

Lon obudził się po trzech godzinach. Sophie od razu się zorientowała, że on nie śpi. Dzień od razu stał się jakby bardziej intensywny.

- Marnie wyglądasz, kochanie - odezwał się Lon.

Stał nad nią z rękami w kieszeniach. Naprawdę nie słyszała, jak się zbliżał.

- Strasznie gorąco - pożałowała się Sophie.

- Cumulonimbusy - powiedział, spojrzawszy w niebo. - Będzie burza. Dlatego jesteś taka spięta.

- Jeszcze tylko burzy mi brakuje - jęknęła.

- Po burzy zrobi się chłodniej, ale to dopiero za parę godzin. Wszystko zależy od wiatru.

- Jakiego wiatru? - Sophie spojrzała na korony drzew.

Lonowi tylko o to chodziło: żeby podniosła głowę, żeby na niego popatrzyła.

- Już nigdy więcej tego nie rób - poprosiła Sophie prawie bezgłośnie.

- Czego mam nie robić? - Udał, że nie wie, o co chodzi.

- Ty dobrze wiesz... - Zarumieniła się na wspomnienie tamtego pocałunku. - Bardzo dobrze całujesz.

Nie chciała Lona, chociaż go pragnęła, a kiedy ją wczoraj całował, czuła się bardziej żywa niż kiedykolwiek przedtem.

- Nie wiem, czemu nie chcesz tego powtórzyć
- Lon ciągle się uśmiechał. - Sama powiedziałaś, że dobrze całuję.

Owszem, pomyślała, tylko że ten jego pocałunek całkiem mnie odmienił. Nagle zachciało mi się być kochaną.

- Wszystko zmieniłeś - westchnęła.
- Taki miałem zamiar. Cieszę się, że cię pocałowałem. Od dzisiaj będę to robił częściej.

Przykłęknął przy niej, delikatnie pocałował usta Sophie.

To tylko pocałunek, tłumaczyła sobie, czując, że znów zaczyna płonać.

- Za drugim razem było nawet lepiej - stwierdził Lon, gdy przestał ją całować. - Może chciałabyś się trochę ochłodzić?

- Bardzo - westchnęła.
- No to chodź - powiedział i uśmiechnął się szeroko.

Mniej więcej po godzinie marszu dotarli do skalistego zbocza. Sophie była taka zamyślona, tak poruszona pocałunkami Lona, że byłaby spadła w przepaść, gdyby Lon w ostatniej chwili nie złapał jej za spódnie.

- Oprzyj się plecami o skałę i idź tuż za mną
- polecił. - Zaraz będzie wejście do grotty.

Wejście do grotty znajdowało się tuż przy ziemi

i było bardzo wąskie. Musieli się wczołgać do środka. A gdy Sophie przeczołgała się na drugi koniec wąskiego przesmyku, kiedy się wyprostowała i rozejrzała dookoła...

Jaskinia wyglądała jak ogromna okrągła komnata bez sufitu, po pionowych ścianach sączyła się woda. Ciche spokojne strumyki spływające po czarnej skale kilka metrów dalej zmieniały się w kaskadowy wodospad, który kończył się okrągłym jeziorkiem o kryształowo czystej wodzie. Znaleźli się w samym sercu wodospadu.

- To jest niesamowite - wyszeptała Sophie.

- Jeśli nadal jest ci gorąco, to możesz sobie popływać albo wziąć prysznic pod wodospadem.

Było bardzo gorąco. Nie tyle na zewnątrz, co w środku. Płonące spojrzenie Lona budziło w niej wszystkie zmysły. Musiała się ochłodzić, żeby całkiem nie spłonąć.

Stała pod kaskadą w ubraniu, dopiero potem się rozebrała i znów stała pod płynącą z góry wodą, tym razem w samej bieliźnie. Potem wyciągnęła się na brzuchu na wielkim płaskim kamieniu, żeby się wysuszyć w promieniach słońca. Miała stąd doskonały widok na jeziorko, z którego właśnie wynurzył się Lon.

Sophie zamknęła oczy. Nie chciała na to patrzeć. A raczej chciała, tylko bardzo się bała. Bała się, że Lon stanie się całym jej światem, że ona nigdy nie przestanie go pragnąć, że nie będzie umiała żyć bez niego.

Jednak po chwili otworzyła oczy. Alonso był prawie nagi, w samych slipach. Patrzyła, jak się do niej zbliża, ociekający wodą, zrelaksowany...

- Lepiej się czujesz? - zapytał.

- Tak - odparła, z trudem wydobywając z siebie głos.

- To dobrze - odgarnął do tyłu mokre włosy.

Sophie starała się nie patrzeć na niego. Czuła przemożną chęć przesunięcia dłonią po mięśniach jego brzucha...

- Zastanawiałaś się może nad moją propozycją?

- Nad jaką propozycją? - zdziwiła się.

- Oświadczyłem się. Już zapomniałaś?

- To nie były żadne oświadczyzny. A jeśli, to i tak nie miałyby sensu,

- Dlaczego?

- Nie pasujemy do siebie, Lon. Ja nic do ciebie nie czuję.

- Nie kłam, Sophie - powiedział cicho. - Nie wolno kłamać.

- Ja nie kłamię! - Sophie usiadła. - Rzeczywiście kiedyś coś do ciebie czułam, a i teraz trochę ciągnie nas do siebie, ale żeby zaraz ślub... Nie, Lon. Ja już nigdy więcej nie wyjdę za mąż i na pewno nie zgodzę się na fikcyjne małżeństwo z tobą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lon przykucnął przy niej. Sophie chciała się cofnąć, lecz on przytrzymał ją za nogę.

- Co rozumiesz przez „fikcyjne”? - zapytał.

- Nieprawdziwe!

- A więc uważasz, że to nie jest prawdziwe?

- dopytywał się, delikatnie wodząc palcem po zaczerwienionym od gniewu policzku Sophie.

- Nie wiem, o co ci chodzi!

- Naprawdę? - Pochylił się, pocałował ją w szyję.

Sophie syknęła, przestała się wyrywać.

- Nadal nie wiesz? - znowu ją pocałował. - Naprawdę nic nie czujesz?

- Pewnie, że czuję. - Przesunęła językiem po wargach.

- Co czujesz?

- Gorąco.

- Zobaczymy, czy uda mi się cię schłodzić.

Pocałował ją w usta. Tym razem całował długo, rozkosznie. Sophie przyciągnęła go do siebie. Nie przerywając pocałunku, Lon ułożył ją na rozgrzanej słońcem skale, położył się na niej. Pragnął jej, chciał ją posiadać, ale najbardziej mu zale-

żało na tym, żeby Sophie także poczuła pragnienie.

Poczuła. Jej ciało zaczęło żyć własnym życiem, mięśnie kurczyły się bez jej woli. Przywarła do Lona, chcąc mieć go jak najbliżej siebie. Nigdy dotąd nie czuła się taka pożądana. Była podniecona do granic wytrzymałości.

Lon przestał ją całować, przeturlał się na bok.

- I jak? Chłodniej ci? - zapytał.

Sophie nie mogła złapać oddechu. Leżała jak ogłuszona, czuła pulsowanie krwi w żyłach.

- Nie - powiedziała, siadając bardzo powoli.

- Ciekawe - Lon się zamyślił. - Gdyby to była fikcja, fałsz, to już byłoby ci zimno. Byłabyś soptem lodu. Ludzie, którzy się nie lubią, którzy nic do siebie nie czują, nie podniecają się w takiej sytuacji.

- Nieprawda, Wielu ludzi podnieca tylko seks.

- Rzeczywiście, ale ja ci nie dałem seksu. Ja ci dałem siebie i swoją miłość. Więc jeśli mnie chcesz, a przypuszczam, że chcesz, to możesz mnie mieć w każdej chwili. Razem z obrączką, świadectwem ślubu i perspektywą długiego, szczęśliwego życia.

Sophie drżała, była rozpalona. Czuła w tej chwili tyle różnych rzeczy, że nie była w stanie sformułować jednej sensownej myśli.

- Przecież można się kochać bez ślubu.

- Naprawdę? - Lon świetnie udał zdziwienie.

- Możesz sobie ze mnie kpić - burknęła Sophie.

- Nie wstydzę się powiedzieć, że mam ochotę na

świetny seks. Wprawdzie miałam męża, ale nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam.

- Jak na ironię, ja miałem mnóstwo seksu, w tym także świetnego, ale nigdy nie miałem żony, nawet byle jakiej. Bardzo chciałbym wreszcie mieć żonę.

Sophie wstała. Miała pełną świadomość, że Lon się jej przygląda, że taksuje spojrzeniem jej prawie nagie ciało. Nie wstydziła się, nie teraz. Jak najzwyczajniej podeszła do miejsca, w którym rozłożyła do wysuszenia swoje ubranie. Pod czujnym spojrzeniem Lona wciągnęła spodnie, koszulkę, włożyła i starannie zasznurowała buty.

Tym razem się go nie pozbędę, myślała, precyskając się za Łonem przez ciasne wejście do jaskini. Zresztą wcale nie chcę się go pozbywać. Ja go bardzo chcę, tyle że na moich warunkach.

Sophie pragnęła luźnego związku bez zobowiązań. Z Łonem taki układ nie był możliwy,

- Co cię aż tak przeraża, Sophie? - zapytał, jakby umiał czytać w jej myślach.

- Wszystko - warknęła.

- Cóż za precyzyjna informacja.

- Chcesz szczegółów? - Popatrzyła na niego wyzywająco. - Jak chcesz, to ci powiem. Nie ufam ci.

- Czyżbym cię kiedyś oszukał? - Lon szczerze się zdziwił. - A może cię zawiodłem? Wymień choć jedną sytuację...

- Nie powiedziałaś mi prawdy o Clivie - wpadła mu w słowo.

Lon się zatrzymał. Stał przed nią wielki, nieruchomy, milczący. Jak skała.

- Nie powiedziałaś prawdy o tych twoich wypadach ratowniczych, które przeprowadzasz ze swymi przyjaciółmi, ani o tym, w jaki sposób ty i Clive związałyście się z Federikiem.

Lon milczał. Sophie wcisnęła ręce do kieszeni. Z całej siły starała się opanować emocje, jakie nią zawładnęły.

- Nie powiedziałaś mi wielu rzeczy, które powinienam wiedzieć...

- A co by to zmieniło, gdybym ci powiedział? Przestałaśbyś czuć do mnie to, co czujesz? - Jego sarkazm sprawił, że się zarumieniła. - Czy właśnie w ten sposób porządkujesz swoje uczucia? Dowiem się czegoś o Clivie, to zdecyduję, co czuję do Lona?

- Nie!

- Bo widzisz, *munieca*, ja i Clive to dwie różne osoby.

- Wiem.

- Obawiam się, że nie wiesz - westchnął rozżalony. - Idziemy. Zaraz zaczną padać.

- Nie odchodź ode mnie! - krzyknęła. - Znów nie chcesz odpowiedzieć na żadne pytanie!

- Nie odchodzę. Ja tylko nie chcę stać i czekać, aż zmoczy nas ulewa. Możemy się pokłócić później.

Nie uszli daleko, kiedy nad ich głowami zawisły czarne chmury, z których popłynęły ciężkie strugi ciepłego deszczu. Nie dało się wspinać pod górę

w tych warunkach, więc Lon pociągnął Sophie pod duże drzewo, które zapewniało jako taką ochronę.

Sophie stała sztywno, żeby nawet przypadkiem nie dotknąć Lona. Dla pewności objęła się ramionami.

- Czego ty chcesz od Clive'a? - odezwała się po chwili. - Co on ci zrobił, że wciąż masz do niego pretensję.

Nie chciała, by Lon też odwrócił się od Clive'a, tak jak ona. Czuła się winna, że chciała rozwodu. Mimo wszystko kochała Clive'a i chciała dla niego wszystkiego, co najlepsze.

- Wcale nie mam pretensji do Clive'a - powiedział Lon i przytulił ją do siebie. - Traktowałem go jak rodzonego brata. Nie było takiej rzeczy, jakiej bym dla niego nie zrobił.

- To czemu zawsze się złościysz, kiedy o nim wspominasz?

- Nie chcę mówić o nim nic złego. - Alonso westchnął ciężko. - Clive już nie może się bronić. Ale owszem, jestem wściekły, że tak się to wszystko skończyło. Nie mogę mu darować, że cię zostawił samą i bez grosza po tym, jak mi ciebie odebrał.

- Wcale mnie nie odebrał...

- Clive wiedział, że chcę ci się oświadczyć - przerwał jej Lon. - Wypatrzyłem u jubilera odpowiedni pierścionek, ale postanowiłem najpierw zasięgnąć opinii Clive'a. On dobrze ciebie znał, znał twój gust. Powiedział, że pierścionek na pewno ci się spodoba, więc go kupiłem.

- Ale przecież myśmy nigdy naprawdę ze sobą nie chodzili - zaprotestowała Sophie. - Jeden pocałunek to za mało...

- Nie chciałem cię ponaglać. - Lon znowu wpadł jej w słowo. - Chciałem, żebyś najpierw skończyła studia i żebyśmy potem mieli prawdziwe narzeczeństwo.

Sophie wtuliła twarz w jego ramię. Wiedziała, że kpił z siebie, ze swoich dobrych chęci. Chciał o nią zabiegać, zachować się jak dżentelmen, a tymczasem zostawił Clive'owi otwarte drzwi.

- Ty nie masz pojęcia, jak cierpiałem, kiedy się dowiedziałem, że ci się oświadczył podczas mojego pobytu za granicą. Nie mogłem uwierzyć, że zrobił mi takie świństwo. Nie mogłem uwierzyć, że... - urwał, zacisnął usta. - Długo trwało, zanim mu wybaczyłem.

- Nie wiedziałam... - szepnęła.

- Nie zamierzałem ci o tym opowiadać. Zresztą teraz też nie powinienem był nic mówić. Nie umiem przegrywać, wiesz?

- Nie chodzi o to, czy umiesz przegrywać, ale o to, żebyśmy mogli ze sobą normalnie rozmawiać. Jeśli rzeczywiście jesteśmy przyjaciółmi, jeżeli mamy sobie ufać, to powinniśmy umieć mówić otwarcie o wszystkim: o Clivie, o nas, o życiu...

Lon uśmiechnął się smutno, pogłaskał ją po policzku. Sophie zadrżała. Dotyk Lona przyprawił ją o drżenie. Za każdym razem...

- Clive, my, życie... - Lon odliczał na palcach

wymienione przez nią sprawy. - Strasznie dużo tego wszystkiego.

- Powinniśmy sobie z tym poradzić.

Lon patrzył na nią, jego uśmiech stał się ciepły, serdeczny.

- Jesteś niewyobrażalnie piękna, Sophie - powiedział.

Nie odezwała się, tylko na niego patrzyła. Patrzyła i pragnęła. Coraz bardziej i coraz goręcej.

Deszcz przestał padać, zza chmur wyjrzało słońce. Dżungla parowała, pachniała mokrą ziemią, rozbrzmiewała śpiewem ptaków.

- Nie pada - powiedział Lon. - Wracajmy do obozu.

Kiedy dotarli do szałasów, zapadał mrok. Już z daleka zauważyli łódź, kołyszącą się na falach, a zaraz potem dwóch mężczyzn. Obaj byli ubrani kolorowo, zwyczajnie, jak turyści. Ale skąd w tym miejscu turyści?

- Cześć, Flip - Lon przywitał się z jednym z nich.
- Szybko przypłynąłeś.

- Musimy was stąd zabrać - powiedział obojętnie Flip. - Robi się ciekawie.

Lon o nic nie pytał. Rzucił plecak drugiemu z przybyłych, wziął Sophie na ręce, wszedł z nią do rzeki i umieścił w łodzi.

Płynęli powoli w górę rzeki. Mężczyźni się nie odzywali. Wszyscy trzej byli czujni, wypatrywali czegoś na rzece. Sophie nie wiedziała, co się stało. Czy Federico ich wyszedł, czy może dzieje się coś gorszego.

Zapadła noc, ale na łodzi nie zapalono świateł. Musiała im wystarczyć poświata księżyca. Na obu brzegach rzeki nic się nie działo.

Sophie w końcu nie wytrzymała.

- Co to znaczy, że robi się ciekawie? - szepnęła do ucha Lonowi. - I nie zbywaj mnie, proszę. Umówiliśmy się, że będziemy mówić prawdę.

- Zjawił się Miguel Valdez, szef Federica.

- To Federico ma szefa?

- Bez pozwolenia Valdeza Federico nawet mleka sobie nie kupi - wyjaśnił Lon.

Flip gestem nakazał im milczenie. Łódź zbliżała się do wielkiego stalowego mostu, po którym jechały samochody. Most jarzył się w ciemności jak wielki neon. Wkrótce zostawili go za sobą i wokół znów zrobiło się ciemno.

Jakiś czas potem Flip skierował łódź ku brzegowi, podpłynął do ukrytego pomostu. W gęstych krzakach, odgradzających pomost od brzegu błysnęło jakieś światło. Najpierw raz, potem drugi...

- Jesteśmy bezpieczni - powiedział Flip i wyłączył silnik.

Lon wyszedł z łódki, pomógł wysiąść Sophie. Milczenie mężczyzny i cisza panująca w lesie bardzo ją niepokoiły. Mocno złapała Łona za rękę, potulnie dreptała za nim w stronę nieodległego dużego domu.

- Co to za dom? - spytała, gdy przekroczyli żelazną furtkę.

- Bezpieczny.

- Czy to znaczy, że dostanę sypialnię i będę mogła zamknąć drzwi na klucz?

- Aż taki bezpieczny nie jest. - Lon się uśmiechnął. - Nikt ci tutaj nie zrobi krzywdy, ale przede mną się nie schowasz.

Sophie dostała własny pokój, tuż obok pokoju Lona. Oba pomieszczenia były ze sobą połączone.

- Czy te drzwi też się zamykają? - zapytała, wskazując na drzwi łączące ich sypialnie.

- Nie - odparł Lon ze stoickim spokojem. - A czy to ci przeszkadza?

Sophie pokręciła głową.

- Doskonale - ucieszył się Lon. - No to idziemy jeść. Kolacja gotowa.

Argentyńska kolacja złożona z grillowanej wołowiny i chrupiących frytek pachniała wspaniale, lecz Sophie ledwie przełknęła kilka kęsów. Nie mogła znieść wpatrzonych w nią oczu Lona. W nią i w jej usta. Jakby ona i te jej usta były najbardziej fascynującym obiektem we wszechświecie.

- Powiedziałaś - Sophie wzięła głęboki oddech - że będziemy czekać, dopóki się nie zgodzę...

- Wyjść za mnie za mąż - dokończył Lon i uśmiechnął się promiennie. - Owszem, zaczekamy.

- Żartujesz - fuknęła Sophie.

- Nie żartuję.

- Ale ja nie chcę wychodzić za mąż!

- Szkoda. Wymyśliłem już ponad sto sposobów, na jakie chciałbym się z tobą kochać.

- Nie ma aż tylu pozycji...

- Czy ja coś mówiłem o pozycjach? - obruszył się Lon. - Nie mówiłem nic o pozycjach, chociaż jest kilka, które pewnie by ci się spodobały, i parę, których na pewno nigdy nie próbowałeś.

Sophie zakręciło się w głowie. Wiedziała, że Lon robi to wszystko celowo, że dręczy ją, chce zmusić do małżeństwa, odmawiając seksu, za którym ona tak bardzo tęskni. Jak świat światem, wyłącznie kobiety uciekały się do tego fortelu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dręczyły ją erotyczne sny. Co pół godziny budziła się zlnana potem i obolała z pożądania. Modliła się o świt, o rychły koniec udreki.

Co za drań, myślała rozgorączkowana. Ale czy rzeczywiście chodziło tylko o seks? Sophie tak to nazywała, sprowadzała wszystko do fizyczności w beznadziejnym strachu o całość swego serca.

To głupie, myślała. Zostałam żoną Clive'a, żeby mieć pewność, że Lon nigdy nie złamie mi serca. Lon to silne uczucia, a Clive - spokój i stabilność. Tak wtedy myślałam. I co z tego wyszło? Clive wcale nie był stabilny, moje małżeństwo nie było spokojne, a Lon okazał się niezmienny i niewzruszony jak skała.

Sophie się rozpłakała. Nakryła głowę poduszką, jakby się chciała schować przed całym światem.

Zmarnowałam nam życie - dręczyła się myślami. Nie jestem zwykłym tchórzliwym strusiem. Jestem gigantycznym tchórzliwym strusiem. Swoją decyzją skrzywdziłam siebie, Clive'a i Lona. Co gorsza, dotąd nie zmądrzałam. Lon dał mi jeszcze jedną szansę, a ja ciągle się zastanawiam.

Kocham Lona, pomyślała Sophie. Kocham go od

zawszę. Owszem, kiedyś mnie przerażał, ale przez minionych dziesięć lat nieco się utemperował. Oboje jesteśmy starsi i mądrzejsi. Życie nas nauczyło pokory. Małżeństwo z Lonem będzie jak tamte wakacje w Buenaventura tylko lepsze.

Niestety coś stało na przeszkodzie: Lon nie wiedział o niej kilku ważnych rzeczy. Choćby tego, że umiała być rozrzutna. Zakupy zawsze będą dla niej świętem, a sklep Harrodsa - rajem na ziemi. Często działała pod wpływem impulsu; jak wtedy, gdy przyjęła oświadczenia Clive'a. Przestraszyła się, że Lon znów wyjechał za granicę, że być może nigdy do niej nie wróci. Dlatego przyjęła propozycję, gwarantującą jej stabilność i bezpieczeństwo. Tak jej się wówczas wydawało.

Umiała też zniszczyć człowieka. Byłaby się rozwiodła z Clive'em, gdyby on przedtem nie umarł. Na pewno nie pozostałaby w tym nieszczęśliwym związku do końca życia.

No, taka właśnie jestem, podsumowała Sophie swoje rozmyślenia. Niezbyt ładny obrazek, ale przynajmniej prawdziwy. Powiem to wszystko Lonowi. Jeśli mnie taką zaakceptuje, to znaczy, że ze mną wytrzyma. A wtedy niech się dzieje, co chce. Zostanę jego żoną.

Włożyła szlafrok. Postanowiła od razu rozmówić się z Lonem. Zapukała do drzwi, łączących jej pokój z pokojem Lona. Skan i przerobienie pona.

Otworzył natychmiast. Był prawie nagi, owinięty w pasie ręcznikiem, cały mokry. Widocznie dopiero co wyszedł spod prysznica.

- Dzień dobry - powitał ją.

- Dzień dobry - odpowiedziała, obserwując, jak mięśnie na jego ramieniu pracują, podczas gdy on wyciera włosy drugim ręcznikiem. - Muszę z tobą pogadać.

- Siadaj - zaprosił ją na szerokie obrzeże marmurowej wanny.

Sophie usiadła, splotła dłonie na podołku. Otworzyła usta, zamknęła, po czym wzięła głęboki oddech i spróbowała raz jeszcze.

- Jestem tchórzliwym strusiem - wyznała.

Czyżby to była ta ważna sprawa, o której chciała ze mną porozmawiać, zdziwił się Lon, z trudem tłumiąc uśmiech.

- Rzeczywiście uciekłam od ciebie, a raczej od siebie samej. Nie dlatego, że mi na tobie nie zależało, ale właśnie dlatego, że zależało. Za bardzo. - Usta jej zadrżały, zamrugowała, ale się nie rozpłakała. - Kocham cię, odkąd pierwszy raz tańczyliśmy razem na szkolnym balu. Tyle że kochać cię, to jak kochać greckiego półboga.

- Tylko półboga?

- Nie jesteś zwykłym śmiertelnikiem - Sophie zignorowała żart. - Jesteś tylko podobny do zwyczajnego człowieka.

- Jak Superman?

- Coś w tym rodzaju. Zawsze uważałam, że do ciebie nie pasuję. Nie umiałam sobie wyobrazić życia z tobą.

- Na razie niczym mnie nie zaskoczyłaś - powiedział cicho Lon.

- Naprawdę szczerze wierzyłam, że potrafię być szczęśliwa bez ciebie - mówiła Sophie, splatając i rozplatając palce. - Szczerze wierzyłam, że jak poślubię Clive'a, to zapomnę o tobie. Niestety, nie umiałam zapomnieć, nie mogłam przestać myśleć o tobie. Nienawidziłam się za to, że nie postąpiłam tak jak należało.

Lon podszedł do niej, ale Sophie zerwała się z miejsca, uciekła w drugi kąt łazienki.

- Nie dotykaj mnie - poprosiła. - Pozwól mi dokończyć.

Zrobiło mu się jej żal. Gołym okiem było widać, że ona chce samą siebie ukarać. Kiedyś, owszem, chciał, żeby żałowała, że go tak skrzywdziła, ale to było dawno. Teraz...

- Nie dręcz się - poprosił Lon. - Wiem, że żałujesz, wiem, że nie byłaś szczęśliwa, a mimo to starałaś się, żeby wszystko było jak trzeba. Bardzo cię szanuję za to, że mimo wszystko zostałaś z Clive'em, że nie odeszłaś...

- Odeszłam - wpadła mu w słowo. Patrzyła na niego błagalnie, jakby chciała wyprosić przebaczenie. - To właśnie jest najgorsze. Miałam serdecznie dosyć tego małżeństwa, bałam się, że nie wytrzymam dłużej... Ja... Ja złożyłam pozew o rozwód, Lon.

Sophie się rozplakała.

- Co zrobiłaś? - Lon nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Złożyłam pozew o rozwód - powtórzyła, pociągając nosem. - Na dzień przed śmiercią Clive'a. Tylko on o tym wiedział. Nikt inny.

Lon patrzył na nią. Sophie zdawało się, że trwa to całą wieczność.

- Rozmawialiśmy przez telefon - opowiadała Sophie. - To było wieczorem, w przeddzień śmierci Clive'a. Zadzwonił do mnie z hotelu, z Sao Paulo. Był bardzo zdenerwowany, ale nie chciał powiedzieć, co się stało. Miałam serdecznie dosyć tego, że on mi nigdy o niczym nie mówi, że zawsze ma przede mną jakieś tajemnice, że ciągle stroi fochy... Powiedziałam, że mam dosyć, że dłużej nie wytrzymam, nie chcę tak dalej żyć.

Lon odwrócił się do niej plecami. Podeszedł do ściany.

- A co on na to? - zapytał.

- Powiedział: „W porządku, skarbie. Jak sobie życzysz”.

Lon z całej siły uderzył pięścią w ścianę łazienki. Słyszał za plecami łkanie Sophie.

Do diabła z tym wszystkim, myślał. Nareszcie wszystko zaczęło się układać. To straszne! Znacznie gorsze, niż sobie wyobrażał. Clive wiedział, co go czeka. Wcale nie umarł szybko ani bez bólu.

- Wybacz mi, Lon - szlochała Sophie. - Błagam, wybacz. Clive nie może, więc ty musisz to zrobić.

Jej płacziwe błaganie w końcu dobiło się do mózgu Lona. Odwrócił się.

Patrzył na nią i wspominał jedyne szczęśliwe wakacje, które spędzili razem. Zawdzięczali je ojcu Clive'a. Hrabiemu udało się jakoś przekonać matkę Lona i ojca Sophie, że takie wspólne wakacje dobrze

zrobią trójce przyjaciół, że w letnim domu jest mnóstwo ludzi, że ktoś zawsze będzie ich miał na oku. Oczywiście w letnim domu Wilkinsów w Buenaventura nikt nie zwracał na nich uwagi. Clive, Lon i Sophie robili, co im się podobało. Chodzili spać po północy, sypiali do południa, wylegiwali się na plaży i byli szalenie szczęśliwi.

Po dwóch tygodniach idylli nadeszła pora powrotu.

Lon na zawsze zapamiętał minę Sophie, gdy wsiadała do samochodu. Była śmiertelnie smutna, jakby przekonana, że resztę życia spędzi w samotności.

- Nie mam ci czego wybaczać - powiedział szorstko Lon. - Jesteśmy, jacy jesteśmy. Nie wszystko możemy zmienić.

- Nie rozumiem. - Patrzyła na niego zapłakanymi oczami. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Clive był gejem - oświadczył Lon.

Odsunął się od ściany, podszedł do Sophie.

- Gejem? - Była zdruzgotana.

Lon też. Nie chciał jej robić krzywdy, nie zamierzał krzywdzić Clive'a, nie chciał niszczyć wspomnień. Ale Sophie przeżywała w tej chwili piekło, dręczona żalem i wyrzutami sumienia. Clive na pewno by tego nie chciał.

- On ciebie kochał, Sophie - mówił Lon, zastanawiając się przy tym, ile jej może powiedzieć. - Bardzo cię potrzebował. Dawałaś mu alibi. Dzięki tobie żył tak, jak tego od niego oczekiwano.

- Nigdy mi nic nie mówił - Sophie kręciła głową.

Nie mogła uwierzyć w rewelacje Lona. - Nigdy nie zrobił niczego... Nigdy nawet nie spojrzął na żadnego mężczyznę.

Ponieważ kochał się we mnie, pomyślał Lon, ale tego nie zamierzał jej powiedzieć. Tego jednego powiedzieć nie mógł na pewno. Nie dlatego, że Sophie by nie zrozumiała. Nie! Ona jedna na całym świecie zrozumiałaby na pewno. Nie mógł powiedzieć, bo Clive przez całe swoje życie trzymał ten fakt w tajemnicy. Nigdy ani słowem czy gestem nie okazał uczuć. Dopiero w godzinie śmierci przyznał się Lonowi, że zawsze go kochał, że poślubił Sophie tylko po to, żeby Lon przy nim został.

Tamtej nocy Lon mu obiecał, że nikomu nie zdradzi sekretu Clive'a. Teraz, stojąc przed Sophie, Lon miał takie wrażenie, jakby przeszłość i przyszłość zderzyły się ze sobą, jak rakiety na kolizyjnym kursie.

- Byłem wściekły na Clive'a - zwierzał się Lon. - Uważałem, że cię opuścił, że umarł sobie i zostawił cię samą. Dopiero teraz rozumiem, że to nie tak. Nie zostawił cię samej. On cię zostawił ze mną.

- Powinien był mi powiedzieć - szepnęła Sophie, spoglądając na Lona z nadzieją, z bezbrzeżnym smutkiem w oczach. - Powinien był ze mną porozmawiać.

- Nie mógł. - Alonso pokręcił głową. - Był na to zbyt dumny. Nie zapominaj, że nazywał się Wilkins. Uważał, że skoro się zdecydował na małżeństwo, to nie może cię zawieść i nie ma prawa sprawić zawodu rodzicom ani... mnie.

Było w tym ostatnim słowie coś, co sprawiło, że Sophie ścierpła skóra. Spojrzała Lonowi w oczy, ale nie dostrzegła w nich spokoju, tylko cierpienie i niepo- hamowany gniew, które raczej nie miały nic wspól- nego z tą rozmową, tylko z życiem ich trojga.

I nagle Sophie wszystko zrozumiała. Clive był zakochany w Lonie! Jej Clive... Nie, ich wspólny Clive żył w ciągłych męczarniach. Czemu sama tego nie zauważyła?

- Kiedy się dowiedziałeś, że Clive jest gejem?
- spytała.
- Krótco przed jego śmiercią - powiedział grobo- wym głosem Lon.

Sophie bez słowa wróciła do swego pokoju. Wzię- ła prysznic, włożyła lnianą spódnicę, bawełnianą bluzeczkę i wyszła na taras, z którego rozciągał się widok na rzekę.

Za jej plecami otworzyły się drzwi i zamknęły. U boku Sophie stanął Alonso.

- Nie możesz tu przebywać - powiedział. - To niebezpieczne.

- To ciebie chcę, nie mnie - przypomniała mu Sophie.

Łon milczał. Przyglądał się Sophie.

- W porządku? - zapytał po chwili.
- Nie.
- Może chcesz porozmawiać?
- Nie. - Naprawdę nie chciała. Owszem, przyje- chała do Brazylii po to, żeby dowiedzieć się prawdy

o śmierci swego męża, jednak nie takiej prawdy się spodziewała. - Potrzebuję czasu.

- Dobrze, ale wejdź do domu. Nie mogę cię zostawić na tarasie.

Cały dzień przesiedziała sama w swojej sypialni. Skuliła się na łożku i próbowała czytać kryminał, który pożyczył jej Flip. Niezbyt dobrze jej szło, bo łzy co chwilę spływały po policzkach...

Nic dziwnego, że wszyscy byliśmy nieszczęśliwi, myślała. To był nieszczęśliwy trójkąt małżeński, niepodobny do innych małżeńskich trójkątów. Wszyscy troje byliśmy w Bogocie odmieńcami i pewnie dlatego połączyła nas ta niezwykła przyjaźń. Mimo wszystko udało nam się jej nie zgubić, przenieśliśmy ją w dorosłe życie.

Sophie otarła łzę, ale następna już spływała z rzęs. Myślała o samotności Clive'a, o tym, jak musiał się męczyć ze swym sekretem, i serce jej omal nie pękło.

Kochała go. Nie zostałaaby jego żoną, gdyby nie chciała, żeby był szczęśliwy. Jednak nigdy nie kochała go romantyczną miłością i Clive jej też nie kochał.

Ależ byliśmy głupi - myślała Sophie. Nic dziwnego, żeśmy się z Clive'em pobrali. On też był tchórzliwym strusiem!

Sophie się rozeźmiała, a potem znów płakała. Czuła się okropnie. Tak bardzo chciała przeprosić Clive'a za to, że nie była dobrym przyjacielem, w każdym razie nie takim, jak by chciała. I przeprosić Lona. Za to, że nawet nie spróbowała życia u jego boku.

Bała się Lona, bała się jego niestałości. Zaufała uśmiechom Clive'a, pięknemu letniemu domowi Wilkinsów, ich bentleyowi i - oczywiście - samemu hrabiemu, który był dobrym, uczciwym i sympatycznym człowiekiem. Tylko Lona nigdy nie obdarzyła zaufaniem. Nie umiała uwierzyć, że on potrafi jej zapewnić spokój i bezpieczeństwo, za którymi tak strasznie tęskniła.

Ależ ze mnie idiotka!

Nagle poczuła, że ktoś położył dłoń na jej głowie. Wiedziała, że to Lon. Nie słyszała, jak wszedł, nie widziała go w tej chwili, ale była absolutnie pewna, że po nią przyszedł i że będzie z nią już zawsze, na dobre i na złe.

- Mamy za sobą ciężki dzień - powiedział.

- Bardzo - zgodziła się Sophie, czując, jak świeże łzy napływają jej do oczu.

- Clive powinien tu z nami być - mówił cicho Lon.

- Pogralibyśmy w karty i powiedzieli mu wszystko, co należało powiedzieć, kiedy jeszcze żył.

- Na przykład?

- Choćby to, żeśmy go kochali. - Lon przysiadł obok niej na łóżku. - Bez względu na jego orientację seksualną. I że zawsze byliśmy jego przyjaciółmi.

Sophie zapatrzyła się na Lona. Nie rozumiała, jak mogła się go kiedyś obawiać. Powinna dziękować Bogu za tego człowieka. Co by bez niego zrobiła? Nie tylko ostatnio, ale w ogóle, przez całe swoje życie.

- Śpij ze mną dzisiaj - poprosiła. - Bez seksu, bez pocałunków. Po prostu ze mną bądź.

Został. Sophie zasnęła przytulona do niego, a kiedy budziła się w nocy, on wciąż był blisko, w zasięgu ręki. Aż do rana był przy niej, przytulał ją do siebie, niezawodny, jak zawsze.

- Dobrze spałaś? - zapytał, ledwie otworzyła oczy.

- Miałam zwariowane sny. Śnił mi się Clive, ty i ja... - popatrzyła na Lona. - To, co mi wczoraj powiedziałeś, przez co ostatnio przeszliśmy... Nie znieśliśmy tego, gdybyśmy nie byli prawdziwymi przyjaciółmi, prawda?

- Prawda. - Pocałował ją w czubek głowy. - Na szczęście jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi. Ty, ja i nasz Clive.

- A więc to miałeś na myśli, kiedy mi powiedziałeś, jeszcze w Londynie, że Clive był skomplikowany... - I nagle się zaniepokoiła. - Ale chyba nie musimy mówić o tym Louisie?

- Nie musimy - uspokoił ją Lon. - Ostatnio dużo przeszła, zresztą i tak by nie zrozumiała.

- Chyba powinnam do niej zadzwonić. To nieładnie, że zostawiłam ją samą na święta - zreflektowała się Sophie. - Na pewno czuje się bardzo samotna w tym swoim ogromnym pustym domu.

- Jak tylko dotrzemy do Argentyny, zaraz do niej zadzwonisz - obiecał Lon. - Możesz ją zaprosić do nas na Nowy Rok.

- Będziemy mieszkać w Argentynie?

- Przynajmniej przez jakiś czas. Musisz odpocząć i trochę się opalić. Mam dom w Mar del Plata,

nad samym morzem. Jeśli się zgodzisz, moglibyśmy tam spędzić nasz miesiąc miodowy.

Sophie usiadła, popatrzyła na Lona.

- Oczywiście możesz sobie wybrać inne miejsce na miesiąc miodowy - powiedział prędko.

- Dwa razy powiedziałeś „miesiąc miodowy” - stwierdziła Sophie z niemałym trudem. To chyba znaczyło, że Lon jej się oświadczył. Znowu!

- Zauważyłaś? - uśmiechnął się uradowany.

- Czemu chcesz się ze mną ożenić? - spytała.

- Nie byłam dobrą żoną...

- Bo cię kocham - wpadł jej w słowo i delikatnie ją pocałował.

- Tylko tyle?

Znowu ją pocałował, tym razem solidnie.

- A trzeba czegoś więcej? - zapytał, kiedy skończył.

- Nie trzeba - przyznała. - Miłość zupełnie wystarczy.

- Dobra odpowiedź - pochwalił Lon. - Wobec tego wyjdź za mnie za męża. Najlepiej zaraz.

- Zaraz? Gdzie? Jakim cudem?

- Może nie zaraz, ale na pewno dzisiaj - Lon znowu się uśmiechnął. - Jest tu pewien przeziły ksiądz, który bardzo się spieszy do domu.

- Sprowadziłeś księdza? - zdumiała się. Ale zaraz uznała, że to podobne do Alonsa.

On po prostu wziął sobie do serca harcerską zasadę, że zawsze należy być przygotowanym na wszystkie okoliczności.

- Flip z chłopcami mieli tu przywieźć zaopatrzenie, więc ich poprosiłem, żeby wzięli ze sobą księdza. Oczywiście się zgodził, zwłaszcza że obiecałem postawić nowy dom parafialny. Tylko widzisz, jutro Wigilia, więc ojczulek bardzo się niecierpliwi. Koniecznie chciałyby zdążyć do Posadas na pasterkę.

- Naprawdę mamy się dzisiaj pobrać? - Sophie nadal nie mogła w to wszystko uwierzyć.

- Dzisiaj. Najpóźniej wieczorem. - Lon uśmiechnął się, jak mały chłopiec, który dostał na Gwiazdkę od dawna wymarzony prezent. - A jutro z samego rana wyprawimy ojca Pereza do domu, żeby mógł wieczorem odprawić pasterkę we własnym kościele.

Sophie pomyślała, że Alonso jest największym na świecie, najbardziej pewnym siebie optymistą. Szczerze mówiąc, zaczęło jej się to podobać.

- Czy ten twój ojciec Perez nie przywiózł przypadkiem jakiejś sukni ślubnej? - spytała.

- Ojciec Perez nie zna się na damskich strojach, ale ja zadbałem o to, żeby razem z duchownym zapakowano na pokład odpowiednią suknię.

Lon pomyślał o wszystkim. Tak jak się spodziewała!

Po południu Sophie wzięła długą relaksującą kąpiel w wielkiej wannie. Jednak nie na wiele się to zdało, bo im bliżej wieczoru, tym bardziej była podenerwowana. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić,

że w końcu zostanie żoną Lona. Trochę późno, ale chyba lepiej późno niż wcale?

Ceremonia trwała nie dłużej niż pół godziny. Flip wystąpił w roli drużby, a druhną została argentyńska gospodyni tutejszego domostwa. Kiedy ojciec Perez im błogosławił, Sophie prawie namacalnie poczuła obecność Clive'a. A potem Clive odszedł i ogarnął ją błogi spokój.

Miała łzy w oczach, lecz tym razem się nie rozpłakała. Lon pogłaskał ją po policzku. On też miał w oczach łzy. Łzy szczęścia.

Czyżby też poczuł obecność Clive'a?

- Niniejszym ogłaszam was mężem i żoną - oznajmił ojciec Perez.

Lon pocałował Sophie, a ona się do niego przytuliła.

- Dziękuję ci - szepnęła. - Bardzo cię Kocham.

- Tak, wiem. Zawsze o tym wiedziałem.

Teraz pozostało tylko podpisać dokumenty. Sophie wydało się zabawne, że nie pamiętała, jak ona i Clive podpisywali akt ślubu. Patrzyła, jak podpisuje Flip, potem gospodyni. W końcu przyszła kolej na nią.

Wzięła do ręki pióro, dokładnie przeczytała hiszpański tekst:

Imię i nazwisko panny młodej: Sophia Elizabeth Johnson.

Imię i nazwisko pana młodego: Alonso Tino Galvan.

Galvan? To niemożliwe! Przecież już o tym rozma-

wiali. Lon powiedział, że to stare nazwisko rodowe. Nie może figurować na oficjalnym dokumencie.

- Nie - powiedziała Sophie, odkładając pióro.

Wstała od stołu. Postanowiła nie podpisywać aktu ślubu. Umówili się przecież, że będą sobie mówili prawdę, tymczasem Alonso wciąż coś przed nią ukrywa. Nie powiedział jej czegoś tak ważnego!

- Co się stało? - zaniepokoił się Lon.

- Kim ty właściwie jesteś? - spytała. Nie chciała znowu zaczynać życia w kłamstwie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Lon zerknął na Flipa. Flip, gospodyni i ojciec Perez dyskretnie opuścili pokój. Lon starannie zamknął za nimi drzwi.

- Znasz mnie - powiedział, podchodząc do Sophie. - Dobrze wiesz, kim jestem.

- Ja znam Alonsa Huntsmana, ale nie mam pojęcia, kim jest Alonso Tino Galvan. A w tym dokumencie było napisane, że wychodzę za mąż za Alonsa Tina Galvana, kogoś, kogo dotąd mi nie przedstawiono.

- Sophie... - zaczął łagodnie Lon.

- Nie traktuj mnie jak dziecko - warknęła. - Odkąd cię poznałam, zawsze nazywałeś się Huntsman.

- Huntsman to nazwisko panieńskie mojej mamy. Ja noszę nazwisko ojca.

- To czemu używałeś nazwiska Huntsman? - piekliła się Sophie. - W szkole figurowałeś na liście jako Huntsman.

- Mama chciała mi zapewnić bezpieczeństwo. Bała się, co ludzie powiedzą, kiedy się dowiedzą, że jestem synem Tina Galvana. Tata się z nią całkowicie zgadzał. Dlatego chodziłem do szkoły jako Huntsman.

- Jakie nazwisko masz w metryce?

- Galvan.

- Pytałam cię o to nazwisko jeszcze w dżungli. Powiedziałeś, że to stare nazwisko rodowe, ale nie powiedziałeś, że twoje.

- Właściwie nigdy go nie używałem.

- Ale ojciec Perez wie, że tak się nazywaś. Federico Alvare też.

- Używałem nazwiska Galvan jako jednego ze swoich pseudonimów.

Sophie dobrze znała nazwisko Galvan. Wszyscy je znali. Rodzina Galvanów była w Argentynie tym, czym rodzina Kennedych w Stanach Zjednoczonych. Byli bajecznie bogaci i mieli wielką władzę.

- Tyle lat byliśmy przyjaciółmi, a mimo to nawet nie wspomniałeś o swojej rodzinie, o tym, że Tino Galvan jest twoim ojcem. Nie sądzisz, że należało mi o tym powiedzieć?

- Nie przyszło mi do głowy, że to takie ważne. Dla mnie to tylko nazwisko.

To nie było tylko nazwisko. To była wielka rodzina! Jego rodzina!

- Poznałeś kogoś z członków tej rodziny? - spytała Sophie.

- Poznałem braci i siostry dopiero kilka lat temu.

Sophie wróciła do stołu, na którym leżało wciąż niepodpisane świadectwo ślubu.

Alonso Tino Galvan - myślała. Nie żaden zwykły Alonso, tylko Alonso Tino! Dostał imię po ojcu, hrabim Tino Galvanie.

- Jacy oni są? Ci twoi bracia i siostry?
- To dobrzy ludzie. Inteligentni i ciężko pracujący.

- Nie zdemoralizowani bogacze, o jakich się czyta w gazetach? - upewniła się Sophie.

- Nie. Wprawdzie są bardzo bogaci, ale na pewno nie zdemoralizowani. I oni mają swoje kłopoty, czasami nawet przeżywają tragedie. Zresztą pierwszego z moich przyrodnych braci poznałem właśnie wtedy, gdy przeżywał wielką osobistą tragedię.

- Opowiedz - zażądała Sophie. Już była spokojna. Nawet usiadła z powrotem przy stole.

- Pracowałem wtedy w Ameryce Łacińskiej - mówił Lon, siadając za stołem naprzeciwko Sophie.

- Dotarła do mnie informacja, że ktoś chce sprzedać dziecko Galvanów. Nie zajmowałem się czarnym rynkiem, ale nazwisko Galvan przykuło moją uwagę, więc się tą sprawą zająłem.

- I co?

- Dziecko na sprzedaż rzeczywiście pochodziło z rodu Galvanów. Chłopiec, którego porwano, kiedy był niemowlęciem, przez pięć lat poniewierał się po rodzinach zastępczych i sierocińcach. Nikt nie chciał go adoptować, bo ludzie się bali nazwiska „Galvan”.

- A ty się go nie boisz?

Wzruszył ramionami.

- Moja mama bardzo kochała ojca. On też nas kochał. Złożył dla mnie pieniądze w funduszu powierniczym i zabezpieczył mamę na wypadek swej śmierci.

- Czy twój ojczym wie o tym?

- Boyd wie tyle, ile powinien wiedzieć. Na przykład to, że jest mamie bardzo potrzebny. Gdyby nie on, na pewno zrobiłaby sobie coś złego, kiedy przyszła wiadomość o śmierci Tina Galvana.

- Tak jak mnie nie byłoby dziś tutaj, gdyby nie ty.

- Sophie sięgnęła po pióro. - Kocham cię, Alonso Tino - powiedziała i już bez wahania podpisała dokument.

Sophie czekała na Lona w swojej sypialni. Naprawdę go kochała. Namiętnie. A mimo to okropnie się denerwowała.

Przyszedł wykąpany, pachnący, w spodniach od pizamy i jedwabnym szlafroku. Przyniósł ze sobą kieliszki i butelkę szampana.

- Ależ ty jesteś piękna - westchnął. - Dobrze że się nie rozebrałaś.

Sophie rzeczywiście wciąż miała na sobie białą ślubną sukienkę. Nawet nie pomyślała o tym, że mogłaby ją zdjąć. Czekwała na Lona...

Otworzył szampana, nalał musujący płyn do kieliszków, jeden z nich podał Sophie. A kiedy wypili, pocałował ją w usta.

- Zatańcz ze mną - poprosił.

- Ale tu nie ma muzyki.

- Jeżeli zamkniesz oczy, na pewno ją usłyszysz

- Lon delikatnie pocałował ją w ucho i objął, tak jak kiedyś na szkolnym balu.

Sophie zamknęła oczy. Z początku nic nie słyszała,

dopiero kiedy przytuliła policzek do torsu Lona usłyszała spokojny, mocny rytm jego serca. W tym rytmie zaczęli tańczyć. Przytuleni do siebie, szczęśliwi. Sophie zdawało się, że znów ma czternaście lat, że jest młodziutką, pełną nadziei dziewczyną, która po raz pierwszy w życiu tańczy w ramionach prawdziwego mężczyzny. Poczuła, że zaraz straci nad sobą panowanie...

Uśmiechnęła się. Panowanie nad sobą straciła już dawno temu.

- Obawiam się, że nie jestem za dobra w łóżku - szepnęła zawstydzona.

- Na pewno będziesz wspaniała. Ja ciebie znam, Sophie.

- Owszem, ale nigdy nie uprawiałeś ze mną seksu.

- Dlaczego ty zawsze mówisz o tym w ten sposób? - spytał, pochylając się, żeby móc jej spojrzeć w oczy. - Seks uprawia się z obcym człowiekiem, a my nie jesteśmy obcy. Dlaczego nie możesz powiedzieć, że będziemy się kochać?

- Dla mnie to... Zrozum, to nigdy nie była miłość. Raczej obowiązek. Małżeński obowiązek.

- Jasne. - Lon się uśmiechnął. - Pewnie dlatego nie chciałaś znów być żoną. Nie bój się, kochanie. Ze mną będzie zupełnie inaczej.

Było całkiem inaczej. Sophie po raz pierwszy w życiu chciała więcej, prosiła o więcej. Po raz pierwszy w życiu przeżyła prawdziwą rozkosz i zaznała zmęczenia po miłosnej nocy.

- Cudownie - mruknęła, kiedy potem spocona, wykończona tuliła się do Alonsa.

- A nie mówiłem? - zażartował, równie jak ona bez sił.

- Powiedz mi coś - poprosiła Sophie.

- Co takiego?

- Jak to się stało, że Clive zadał się z Federikiem i z tym całym Valdezem?

- Potrzebował pieniędzy. - Lon westchnął, pogłaskał ją po głowie. - Na pewno wiesz, że Clive miał kłopoty finansowe. Stracił na giełdzie wszystko co miał, a nawet dużo więcej. W końcu zaczął podbierać pieniądze Louisy.

I to pewnie też stracił, pomyślała Sophie. Teraz wiedziała wszystko, a nawet więcej, niż chciała wiedzieć. Zrozumiała, czemu jej mąż tak późno wracał z pracy, czemu po powrocie do domu bolało go serce, a rano, przed pójściem do pracy miewał mdłości.

- Jakim cudem Louisa niczego nie zauważyła?

- Clive znalazł sposób, żeby spłacić część swoich długów.

- Federico - domyśliła się Sophie.

- No właśnie - potwierdził Lon. - Clive nie miał pojęcia, w co się pakuje.

- Kiedy się zorientował?

- Dopiero pod koniec życia.

- Kto mu powiedział?

- Ja. - Lon westchnął i zamilkł.

Sophie zrozumiała, że nic więcej jej nie powie. Zresztą nie potrzebowała słów. Wyobraziła sobie

tamtę wieczór, okropny, straszliwy wieczór... Zastanawiała się, jak Lon zdołał to wszystko przetrwać. Też musiał przejść przez piekło tamtej nocy w Sao Paulo.

- Kocham cię - szepnęła Sophie. - Żałuję, że potrzebowałam tak dużo czasu, żeby to zrozumieć.

- Lepiej późno niż wcale - mruknął.

Kiedy się obudziła, Lona przy niej nie było. Na dworze musiało się zrobić gorąco, bo story były zaciągnięte, a klimatyzacja pracowała na cały regulator.

Sophie wzięła prysznic, owinęła się jedwabnym szlafrokiem Lona, który od wczoraj leżał na podłodze, i pomaszerowała do kuchni.

- Na pewno chcesz helikopter? - usłyszała dobiegający z jadalni głos Flipa. - Jak wylecimy stąd helikopterem, będą mieli nas na widelcu.

- Tak będzie najszybciej, a ja muszę ją stąd zabrać tak szybko, jak to możliwe - tłumaczył Lon.

- I najlepszy sposób, żeby cię rozwalili - ironizował Flip.

Sophie zdała sobie sprawę, że rozmawiają o niej. Ona miała stąd wyjechać, a Lon miał zostać i narazić się na jakieś niebezpieczeństwo.

- Nie dam się nikomu rozwalić - Lon roześmiał się jakoś dziwnie. Lodowato, przerażająco.

- Nie wyobrażaj sobie, że zostawimy cię tu samego, chłopie - odezwał się ten trzeci, Australijczyk.

- Jak chcesz zostać żarciem dla krokodyli, to przy-

jedź do nas, do Queensland. Przynajmniej nasze gadziny nie będą chodziły głodne.

- Nie ma innego wyjścia - stwierdził stanowczo Lon. - Ojciec Perez musi dzisiaj wrócić do Posadas. Obiecałem mu, że zdaży do siebie na pasterkę. Chcę, żebyście obaj towarzyszyli Sophie...

- Nie zostawię cię tu samego - wpadł mu w słowo Flip. - Najałeś mnie, żebym wykonał zadanie, więc je wykonam. Rozdzielimy się. Ja zostanę z tobą, a Turk poleci z Sophie.

- Załatwione - odezwał się Australijczyk Turk. - Odstawię ją bezpiecznie do twoich krewnych w Buenos Aires.

Zaszurały krzesła. Mężczyźni wstali.

- Za dwadzieścia minut odlatujecie - przypomniał Lon. - Idę po Sophie.

Nie musiał iść daleko. Sophie stała w progu pokoju jadalnego. Na jego widok odwróciła się na pięcie. Chciała uciec, ale ją przytrzymał, obrócił twarzą do siebie.

- Spójrz na mnie - poprosił.

Nie mogła. Nie mogła znieść tego, że znów zostanie sama. Miała stąd uciekać razem z księdzem i australijskim komandosem, zostawić Lona na pastwę straszego losu!

- Naprawdę nie jest mi łatwo - mówił Lon. - Myślisz, że podoba mi się to, co się tu dzieje?

- Przecież możesz wyjechać! - wybuchnęła Sophie. - Nie musisz tu zostawać, nie musisz tego robić.

- Muszę. Na tym polega moja praca.

- Nie na tym polega twoja praca. Jesteś właścicielem kopalni szmaragdów, eksportujesz...

- Zrozum, Sophie, od wielu lat szukamy Valdeza - tłumaczył jej Lon. - On jest w tej chwili tutaj i chce mnie dopaść.

- Właśnie dlatego powinieneś uciekać.

- Ja nigdy nie uciekam.

- I ty się jeszcze dziwisz, czemu wcześniej nie znalazłeś sobie żony? - prychnęła Sophie.

- Jeżeli teraz nie zostanę, jeśli sobie z nimi nie poradzę, to przez resztę życia będę się ukrywał, przez całe życie będę się musiał bać. Ja nie chcę uciekać i nie chcę się bać o tych, których kocham. Już zapomniałaś, w jaki sposób Valdez do mnie dotarł tym razem?

Sophie się zarumieniła, bo przecież Valdez odnalazł Lona dzięki niej, dzięki jej bezdennej naiwności, wręcz głupocie.

- Nie miałeś prawa się ze mną żenić - pisnęła żałośnie. - Czemu mi to zrobiłeś, Lon?

- Wręcz przeciwnie, miałem wszelkie prawa. Gdyby coś mi się stało, to przynajmniej ty będziesz bezpieczna. Ty odziedziczysz majątek...

- Tylko tyle masz mi do zaoferowania?! - wykrzyknęła, szarpiąc go za koszulę. - Jeden dzień małżeństwa i pieniądze na otarcie łez?

- Sophie - mitygował ją Lon.

- Daj mi spokój - wyrwała się z jego objęć. - Nie po to cię wczoraj poślubiłam, żeby już dziś zostać wdową!

- Na pewno nie dzisiaj.

Sophie ukryła twarz w dłoniach. Nie chciała stracić Lona. Nie po to go odnalazła, żeby go teraz utracić.

- Czemu Valdez chce cię zabić? - spytała. Skoro nie mogła nic zmienić, chciała przynajmniej coś zrozumieć.

- Zastrzeliłem jego brata - odparł Lon, ścierając łzę z jej policzka.

- Opowiedz - zażądała. Pociągnęła nosem, uniosła wysoko głowę.

Lon patrzył na nią. Zastanawiał się. W końcu doszedł do wniosku, że nie ma wyboru.

- Byłem wtedy w Sao Paulo - zaczął. - Byłem tam tamtej nocy, kiedy zginął Clive.

Sophie przygryzła wargę tak mocno, aż poczuła w ustach krew.

W końcu korytarza zjawił się Flip. Machał na Lona, ale ten się nie poruszył. Sophie też nie.

- Co się wtedy zdarzyło? - Musiała się tego dowiedzieć.

- Zastawiono pułapkę na tajnych agentów wydziału do spraw narkotyków, którzy wydali wojnę kokainowemu imperium Valdeza. Valdez ich załatwił. Uśmiercał powoli, zadając jak najwięcej bólu. Nie chciał mieć świadków, więc Clive'a też załatwił.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Ja... byłem jednym z tych agentów. - Lon zamknął oczy. Na jego twarzy malowało się cierpienie. - Jakimś cudem przeżyłem, ale widziałem

wszystkie ich okrucieństwa. Jestem jedynym człowiekiem na całym świecie, który może świadczyć przeciwko Valdezowi i sprawić, żeby został skazany.

- Więc czemu wcześniej cię nie dopadł? - spytała zrezygnowana Sophie. Już się nie złościła, za to coraz bardziej się bała.

- Naprawdę jestem dobry - Lon uśmiechnął się słabo. Starał się ją rozbawić, ale nie wywołał nawet najśłabszego uśmiechu.

Był taki strasznie męski i tak bardzo się o nią troszczył. Zawsze taki był. Na pewno nie da się go zmienić w tej chwili. Można go tylko kochać. I modlić się, żeby wrócił cały i zdrowy.

Sophie wspięła się na palce, zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła się do Lona i mocno go pocałowała.

- Lepiej, żeby to była prawda - powiedziała.
- Zobaczysz, będzie dobrze - zapewnił ją Lon.
- Pod warunkiem że do mnie wrócisz - mruknęła i pobiegła do sypialni, żeby się ubrać.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Lon wziął Sophie za rękę, wyprowadził z domu. Ale nie poszli na przystań, tylko w drugą stronę. Na tyłach domu znajdowała się budowla przypominająca garaż z betonu i stali. Była gęsto obrośnięta tropikalną zielenią, żeby jak najmniej rzucać się w oczy.

A więc to wszystko prawda, pomyślała, rozpaczliwie ściskając dłoń Lona. Ja stąd wyjeżdżam, a Alonso zostaje!

Lon ją przytulił do siebie.

- Bywałem w gorszych opałach - szepnął jej do ucha. - Ani myślę cię stracić, zwłaszcza teraz, po tym cośmy ostatnio razem przeszli.

Dach garażu się rozstąpił, ściany się rozchyliły. Budowla otwierała się jak kielich rozkwitającego kwiatu. Wewnątrz tego kielicha ciepło powietrze śmigało helikoptera.

- Kiedy znów cię zobaczę? - zapytała błagalnie Sophie.

- W Buenos Aires - odparł Lon, pomagając jej wsiąść do helikoptera.

- Nie pytałam gdzie, tylko kiedy - z trudem przekrzykiwała huk maszyny.

- Musisz we mnie wierzyć - zawołał Lon. Zamknął drzwi, odsunął się od lądowiska.

Wierzę, powtarzała Sophie jak mantrę, kiedy helikopter wzniósł się pionowo w górę. Alonso zniknął z pola widzenia, pomalowany w barwy ochronne stalowy dach hangaru się zamknął, w dole widać było tylko niezmierną zielen tropikalnego lasu deszczowego.

Sophie opadła na fotel. Turk zapiął ją pasem, a siedzący naprzeciw niej ojciec Perez powiedział:

- Musisz wierzyć, dziecko.

Skinęła głową. Ojciec Perez też kazał jej wierzyć. Tak samo jak Lon. Musiała wierzyć. Cóż innego jej pozostało?

Najpierw wylądowali w Posadas, na południe od wodospadu, gdzie wysadzili ojca Pereza. Natychmiast potem helikopter znów uniósł się w górę, a półtorej godziny później wylądował na dachu wieżowca w samym centrum miasta.

Turk wysiadł pierwszy i gestykulując zawzięcie, mówił coś do ubranego na czarno mężczyzny. Potem wrócił do helikoptera, skinął na Sophie.

- Chodź, skarbie - powiedział. - Tutaj będziesz bezpieczna.

Może i była bezpieczna, ale także straszliwie zmęczona i niemal oszalała ze strachu. Stanowczo za dużo ostatnio przeżyła...

A przecież właśnie tego starała się uniknąć. Nawet wyszła za mąż za Clive'a.

- Czy chcesz, żebym z tobą został? - zapytał Turk.

Pewnie, że chciała, ale gdyby Turk z nią został, nie mógłby wrócić do Iguasu, nie mógłby wesprzeć Lona i Flipa w tym piekle, które ich tam czekało. Bo że to będzie piekło, tego Sophie była więcej niż pewna.

Helikopter odleciał. Sophie zebrała się na odwagę, podeszła do ubranego na czarno olbrzymiego mężczyzny.

- Dzień dobry - powiedziała. - Jestem Sophie.

- Lazaro Herrera - przedstawił się czarny olbrzym. - Jestem jednym z przyrodnich braci Alonsa.

- To jest was więcej? - spytała, ściskając jego wielką dłoń. Alonso był wysoki i potężny, ale Lazaro był jeszcze wyższy od niego.

- Jesteśmy dużą rodziną - Lazaro się uśmiechnął, zdjął ciemne okulary. - Zawiozę cię do Dantego. Cała rodzina zebrała się u niego. Nie mogą się już ciebie doczekać. Zwłaszcza Anabella.

Czarna limuzyna wioząca Sophie i Lazara zatrzymała się przed dużym eleganckim domem w Recoleta, najstarszej i najbogatszej dzielnicy Buenos Aires. Dom z beżowego piaskowca otaczały fantazyjnie przycięte drzewa, z okazji Bożego Narodzenia ozdobione czerwonymi i białymi wstążeczkami.

Nie czekając, aż zrobi to kierowca, Lazaro wysiadł z auta, otworzył drzwi i pomógł wysiąść Sophie. Nim weszli na schody, frontowe drzwi otworzyły się na oścież. Cała rodzina wyszła ich powitać: dziewczynka, kilku chłopców, dwie piękne blondynki,

jedna brunetka, a za nimi kilku bardzo wysokich mężczyzn.

Potem, kiedy dorośli zasiedli w salonie, a dzieci rozbiegły się po całym domu, Sophie przekonała się, że naprawdę są sympatyczni, dokładnie tak jak zapewniał Alonso. Nie była to sztuczna uprzejmość, ale zwyczajna ludzka serdeczność wobec nowego członka rodziny. Kobiety były inteligentne, dowcipne i niesłychanie cierpliwe. Zarówno w stosunku do dzieci, jak i swoich bardzo męskich małżonków.

- Nie mogą usiedzieć w miejscu - powiedziała Anabella, spoglądając z czułością na gromadkę przebiegających przez salon dzieci. - Zwłaszcza w Wigilię. Całkiem powariowały. To jest Tomas - pokazała palcem wysokiego blondyna. - A tamten mniejszy, to Tulio.

- Opowiedz nam o ślubie - poprosiła Zoe, trzymająca na ręku niemowlę.

- Zoe jest bardzo romantyczna - poinformowała z uśmiechem Daisy. - Nic dziwnego, że zakochała się w Lazarze.

- A Daisy pełni obowiązki starszej siostry - wtrąciła Anabella. - Zawsze ma własny pogląd na każdą sprawę i przeważnie ma rację.

Kawę i deser podano na tarasie. Sophie zrobiło się smutno. Cała rodzina zebrała się razem w tym miłym domu, tylko Lon tkwił w Iguasu...

- Lon to bystry facet - usłyszała nad uchem głęboki męski głos. - Nie da sobie w kaszę dmuchać.

Sophie otarła łzy, spojrzała na stojącego obok niej

mężczyznę. Był wysoki i ciemnowłosy jak cała reszta, miał lekko skrzywiony nos i długie włosy uczesane w kucyk.

- Jestem Lucio, mąż Anabelli - przedstawił się mężczyzna.

- Alonso mi o tobie opowiadał - przypomniała sobie Sophie. - Odnalazł twojego synka, prawda?

- Tak - potwierdził Lucio. - To był prawdziwy cud. Uprawdzono nam jedno dziecko, a po pięciu latach dostaliśmy dwoje.

- Nie bardzo rozumiem...

- W swoim ostatnim sierocińcu Tomas zaopiekował się małym chłopcem - Lucio się uśmiechnął.

- Alonso przywiózł nam ich obu i teraz mamy nie jednego, ale dwóch synów. Tomas uważa Alonsa za superbohatera. Nic w tym dziwnego. Oddał małemu rodziców i znalazł dom dla Tulia.

- Superbohater, powiadasz - powtórzyła Sophie.

- Wiem, to trochę głupie, ale wiesz, jakie są dzieci.

- To wcale nie jest głupie - obruszyła się Sophie.

- Odkąd się poznaliśmy, nazywam Lona supermanem.

- Więc wiesz, że zawsze można na niego liczyć.

- Wiem, ale... - Sophie przełknęła łzę. - Smutno mi, że nie ma go tutaj ze wszystkimi. To Boże Narodzenie.

- To dopiero Wigilia - poprawił ją Lucio.

A więc Sophie czekała, starając się robić dobrą minę i nie psuć świątecznego nastroju.

Rano obudziły ją podekscytowane dziecięce głosy.

Dzieci otwierały prezenty, były szczęśliwe. Tylko od Lona nie było żadnej wiadomości.

- Kiedy przyjedzie wujek Alonso? - zapytał Tommas, gdy już się nacieszył nową grą komputerową. Dorośli zamilkli speszeni.

- Już niedługo, kochanie - zapewniła synka Anabella. - Wiesz, że wujek Alonso zawsze spędza z nami Boże Narodzenie. Wujek jest z rodu Galvanów. - Popatrzyła znacząco na Sophie.

Popołudnie minęło, nadszedł wieczór, a wieści od Lona jak nie było, tak nie było. Dzieci już poszły spać, dorośli rozsiedli się w salonie.

Sophie aż podskoczyła, gdy zegar wybił pierwszą. Postanowiła także położyć się do łóżka. Była śmiertelnie zmęczona czekaniem i przerażona tym, co mogło się przytrafić Lonowi.

Jednak nie poszła prosto do sypialni; na chwilę wyszła przed dom. Noc była ciepła, cicha...

- Chcesz być sama, czy wolisz towarzystwo? - zapytał Dante, który stanął za jej plecami jak cień.

Dante, najstarszy z braci Galvanów, był najprzystojniejszym z nich. Ale to co Sophie najbardziej w nim ceniła, to jego inteligencja i wewnętrzne ciepło. Był ciepły i troskliwy, tak samo jak Alonso...

- Rozmawiałem z Daisy - mówił Dante. - Doszliśmy do wniosku, że kiedy wróci Lon, trzeba wam będzie wyprawić prawdziwe wesele.

- Dziękuję - westchnęła Sophie. - Przede wszystkim za to, że powiedziałaś „kiedy wróci”, a nie „jeśli wróci”.

- Na pewno wróci - zapewnił ją Dante. - I to już niedługo.

Na końcu ulicy pojawił się samochód. Światła reflektorów były coraz bliżej.

- Miej oczy szeroko otwarte - powiedział Dante, zanim wrócił do domu. - Może ty też dostaniesz gwiazdkowy prezent.

Sophie została sama na wielkich schodach. Nie spuszczała oczu z nadjeżdżającego auta.

Żeby to był Alonso, żeby już do mnie wrócił, modliła się w duchu.

Ale samochód zawrócił na środku ulicy i znowu ruszył przed siebie.

Sophie się rozpląkała. A przecież wiedziała, że to głupie, że nie powinna liczyć na cud. Skąd miałby się tutaj nagle wziąć Alonso? To chyba przez Dantego. Był taki pewny siebie, jakby o czymś wiedział. A potem, jak na zawołanie, zjawilo się to auto...

- Sophie - usłyszała ciche wołanie. Przed nią, na ścieżce wiodącej do domu poruszała się jakaś sylwetka. Wysoka, potężna postać....

- Alonso! - Sophie zbiegła ze schodów, rzuciła mu się na szyję. - Jesteś nareszcie!

- Wesołych świąt, *munieca* - powiedział Alonso, tuląc ją do siebie.

Drzwi znów się otworzyły i - jak przed dwoma dniami - rodzina Galvanów wysypała się na schody. Lucio zbiegł na dziedziniec, porwał w ramiona Alonsa, podniósł go do góry.

Sophie łzy zakreściły się w oczach. A więc Galvan

to nie tylko nazwisko, myślała. To także cała reszta: bracia, siostry, ich dzieci i miłość. Bo oni naprawdę się kochają!

Właśnie za tym tęskniła całe swoje życie. Za wielką rodziną, za jej miłością i wsparciem.

- No, opowiadaj - poprosił Lucio, kiedy wszyscy rozsiedli się w wielkiej kuchni, a Anabella postawiła przed Lonem świąteczną kolację. - Czy doszło do konfrontacji?

- Co z Valdezem? - dopytywał się Lazaro - Złapaliście go, czy znów udało mu się uciec?

Sophie zakręciło się w głowie. Siedziała obok Lona otoczona jego braćmi, którzy zasypywali go pytaniami. Zachowywali się głośniejszy niż dzieci podczas porannego rozpakowywania prezentów.

- Właściwie nie było żadnej walki - opowiadał Lon. - Brytyjskie służby specjalne porozumiały się z CIA oraz z policją w Brazylii i Argentynie. Cała ta armia otoczyła nasz dom; Valdez i jego ludzie nie mieli żadnych szans.

- To znaczy, że Valdez jest w więzieniu - podsumował Lazaro.

- Nie udało się go aresztować. - Lon pokręcił głową. - Zastrzelił się, jak zobaczył, że już nam się nie wymknie. Alvarez zrobił to samo, a resztę wyłapaliśmy jak kaczkę.

- My? - zapytała Sophie, nie bardzo wiedząc, o kim mówi Lon.

- Wydział MI6, którym kierował Lon - wyjaśniła jej Anabella.

- Lon kierował departamentem MI6? - Sophie nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Wujek Alonso jest szpiegiem - tłumaczył z przejściem Tomas. Tylko jemu i małemu Tulio pozwolono wstać z łóżek i zostać z dorosłymi. - Pracuje dla Jej Wysokości królowej brytyjskiej.

Sophie nie całkiem w to uwierzyła. Pomyślała nawet, że chłopiec naoglądał się filmów z Jamesem Bondem i stąd te dziwne fantazje...

- Naprawdę jesteś szpiegiem? - zwróciła się do Lona.

Anabella i Lucio wymienili spojrzenia, Zoe przytuliła się do Lazara.

- Ty o tym nie wiedziałaś, ciociu? - spytał z niedowierzaniem Tomas.

- W dzisiejszych czasach nie mówi się „szpieg”, kochanie - odezwał się Lon. - Nazywa się to „oficer”, w najgorszym razie „tajny agent”.

- Jesteś szpiegiem! - Sophie nareszcie zrozumiała, że to wszystko prawda, a nie dziecięca wyobraźnia.

- Byłem agentem MI6 - poprawił ją Lon. - Dwa lata temu odszedłem ze służby. Przeżyłem straszliwy wstrząs. - Popatrzył jej prosto w oczy. - Straciłem przyjaciela.

Nareszcie zrozumiała to wszystko, co dotąd nie chciało się ułożyć w logiczną całość. Czemu Lon był w Sao Paulo akurat tej nocy, kiedy zginął Clive i skąd znał okoliczności jego śmierci, jakim sposobem mógł zawsze wszystko załatwić i skąd miał tyle niezwykłych znajomości.

- Coś mi się zdaje, że musimy sobie porozmawiać na osobności, kochanie - szepnęła mu do ucha.

Kiedy znaleźli się w sypialni, zupełnie sami, Lon stanął naprzeciw niej i powiedział:

- Przepraszam, że ci o tym wszystkim nie powiedziałem. Naprawdę nie mogłem. Dopóki żył Valdez...

- Rozumiem - przerwała mu.

- Rozumiesz? - zdziwił się Lon.

- Wolałeś, żebym nie wiedziała tego, co można by ze mnie wyciągnąć siłą - pochwaliła się swoją przenikliwością.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała, na jakie niebezpieczeństwa się narażałem.

- Naprawdę oszedłeś ze służby? - dopytywała się Sophie, patrząc prosto w jego niebieskie oczy.

- Naprawdę. Teraz jestem wyłącznie zwyczajnym właścicielem kopalni szmaragdów.

Sophie poczuła, jak kamień spada jej z serca. Tak bardzo się bała o Lona, ale teraz już wszystko będzie dobrze, teraz już zawsze będą razem.

Tak bardzo szczęśliwi.